Nr. 34. Warszawa, dnia 8 (20) Sierpnia 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

BISMARCK.

III.

Współpracownik *Kreuz Ztng*, człowiek znany już z awantur po piwiarniach berlińskich, sprawiał na wszystkich wrażenie zakutego junkra. W najgorętszych czasach patryotyzmu niemieckiego, kiedy demokracya usiłowała zorganizować Niemcy w państwo związkowe rzeczywiście już narodowe, Bismarck występował stale jako patryota pruski i zwolennik stanu przedrewolucyjnego z Bundestagiem na czele. Ideałem jego było przywrócenie zgnębionej przez rewolucyę królewskości pruskiej tego uroku, jaki dawniej posiadała, a dodanie jej siły, jakiej nie miała nigdy. Do czasu tylko tolerował Austryę i zalecał trzymanie z nią. Wszystko, co nie wychodziło z zamku berlińskiego, było mu złem. D. 15 kwietnia 1850 r., jako jeden z sekretarzy parlamentu erfurckiego, mającego wytworzyć państwo niemieckie bez Austryi, mówił o królu pruskim jako o książątku zmedyatyzowanem, ubolewał nad tymi Prusakami, którzy projekt konstytucyi popierają, oburzał się na kokardy trójkolorowe czarno-czerwono-złote, twierdząc, że nigdy nie były barwami rzeszy, groził wreszcie Bucefałem, który jeźdźców rozniesie i potratuje—a Bucefałem tym miały być oczywiście Prusy. Sam czuł taki wstręt od wszystkiego, co tylko wychodziło z dołu, że w Erfurcie nie mógł nawet znieść przystrojenia foteli poselskich w symboliczne barwy epoki. Przed otwarciem posiedzeń zerwał je z miejsca, które miał zająć.

W miesiąc już nie było parlamentu erfurckiego. Prusy zaniechały wszelkich prób i umizgów; postanowiły powrócić do Austryi i do Bundestagu. Prusacy mieli już od końca stycznia własną, konstytucyę; niemiecka ich palić przestała. D. 28 listopada 1850 r. zjechali się do Ołomuńca na konferencyę: Meyendorf, przedstawiciel Rosyi w Wiedniu, Manteuffel i ks. Schwarzenberg, ministrowie kierujący Prus i Austryi. Monarchia pruska wracała do posłuszeństwa. Druga Izba berlińska w większości swej chciała uchwalić adres i prosić o zaniechanie polityki, wtrącającej kraj w stan „złowrogi.“ D. 3 grudnia podniósł się Bismarck, aby ostrzedz, że adres porusza sprawy, z których łatwo wybuchnąć może wojna, i to europejska wojna preciwko dwom wielkim mocarstwom, a ku uciesze trzeciego, Francyi, która „nie zapomniała, że w Kolonii jest jeszcze francuska korona cesarska.“ Siłą rozpędową wielkiego państwa powinien być tylko egoizm, nie romantyczność. Czas nareszcie zerwać niegodny związek z demokracyą, przejąć się zasadą, że nic w Niemczech bez Prus stać się nie powinno, że co Prusy i Austrya postanowią, to przez Prusy i Austryę wykonanem być musi. „Nie narzucajcie Prusom roli Piemontu!“ — wołał. Dziwiło go odmawianie Austryi charakteru mocarstwa niemieckiego. Słowem, bezwarunkowy obrońca polityki rządowej, dojrzały do władzy, wśród trosk patryotycznych inteligencyi narodowej występujący jako kandydat do posady politycznej.

I posada go nie minęła. W Ołomuńcu postanowiono wskrzesić Bundestag wraz z przodownictwem austryackiem. Czynności przejściowe i przygotawawcze w maju dopiero 1851 r. pozwoliły zagaić ciało ośmieszane przez wszystkie nationalvereiny, burschenschafty, przez odważniejszych profesorów na katedrach i dla jutra żyjące dziennikarstwo. Hr. Thun-Hohenstein przedstawiał Austryę, p. Rochow — Prusy; temu dodano radcę legacyjnego w osobie Bismarcka. Mowa w Ołomuńcu zwróciła była na niego uwagę królewską, ale wiele jeszcze on sam czasu na wprazanie się stracić musiał, wiele stracili go orędownicy, zanim król przystał na człowieka, którego przeciwnicy, co prawda, grzesznie już wówczas lekceważyli, który jednakże do owej chwili ostatecznie więcej okazał junkierskiego temperamentu, niż politycznej biegłości. W półtrzecia miesiąca, d. 18 sierpnia 1851 r., został już posłem, po starym Rochowie, który go za *idealistę* uważał i wyboru jego nie zalecał. We Frankfurcie Bismarck rzeczywiście dojrzał jako Prusak i jako Niemiec i zarazem majster w sztuce wytwarzania faktów dokonanych, jaką jest polityka. Nauczył się patrzeć i milczeć, co mu, przy porywczości, nie przychodziło bez ofiar; wyćwiczył się i w sztuce dyplomacyi i tak ją z początku w liście do żony charakteryzował: „Najobrzydliwszy demokrata nie ma pojęcia, ile tu jest czczości i szarlataneryi.“ Mawiał o sobie, że będąc we Frankfurcie, stał oko w oko z nieprzyjacielem. Austryę już wtedy postanowił, gdyby doszedł do władzy, wyrzucić z Niemiec i już wtedy wskazywał jej środek ciężkości w Peszcie. Nie radził „wesołej pruskiej fregaty przyczepiać do tego starego trójpokładowego licha, stoczonego przez robactwo“; państw mniejszych nie ma się co obawiać. Podczas wojny wschodniej przyczynił się Bismarck do utrzymania neutralności pruskiej, wskazując między dwoma krańcowymi prądami jedyny tor rzeczywistego interesu: „Być odosobnionym z 400,000 ludzi—zaprawdę, to niewielkie nieszczęście.“ „Temperatura wielkich przesileń europejskich bywała zawsze dla Prus najprzyjaźniejszą.“ (Nota z Frankfurtu z d. 15 grudnia 1854 r.).

O Austryi myślał ciągle, nawet w lasach kurlandzkich, dokąd go w r. 1857

zaprosił z sobą na polowanie ówczesny ks. następca tronu duńskiego, dziś król Chrystyan IX. Z polowania złożył Manteufflowi raport o Austryi. „Jeżeli Prusy nie staną się młotem, będą kowadłem“ — zawołał. Ministeryum Schlenitza-Hohenlohego uznało posła swego przy Bundestagu za zbyt krewko zabierającego się do Austryi — i na początku r. 1859 odwołało go z Frankfurtu. Nie była to niełaska; owszem, uznanie zasług, które tylko na razie wprawiały w kłopot. Gdy zawakowało wielkie poselstwo w Petersburgu, zaraz Bismarckowi je oddano. Przed wyjazdem złożył ze swej siedmioletniej z górą praktyki sprawozdanie o stanie sprawy niemieckiej w Bundestagu, z widokami na przyszłość i kombinacyami z Austryą lub bez niej — memoryał znany pod nazwą *D. kleine Buchlein*. Uzupełnił go już w Petersburgu listem do Schleinitza z d. 12 maja 1859 r., w którym pierwszy raz wyszło z pod pióra jego, nie z ust, słowo: *ferro et igni*. „W stosunku swoim do związku niemieckiego Prusy cierpiały jakąś niemoc, i spiesznie we właściwym czasie leczyć je potrzeba, aby nie zaszła konieczność użycia żelaza i ognia.“ W Petersburgu napadała go czasem zmora quasi-filozoficznego, zaprawdę, dość oryginalnego pesymizmu: „Ludy i ludzie, mądrość i głupstwo, wojna i pokój—wszystko to tylko fale na wodzie: przemijają, a morze zostaje. Wszystko na tej ziemi jest tylko kuglarstwem i obłudą, a czy gorączka, czy kartacz maskę ciała zedrze, prędzej lub później spaść ona musi. Austryak i Prusak będą do siebie podobni, jeśli tylko zrównają się w wielkości.“ To *jeśli* wydobywa tu polityka przyszłości z pod chwilowego pesymisty. Humoru mu wogóle w Petersburgu nie brakło. Był bardzo uprzejmym, towarzyskim, nadskakującym. Nazywał się chętnie „uczniem“ ks. Gorczakowa, czem niemało sobie pomagał. Nauczył się po rosyjsku, ale pokryjomu: nieopatrznie zdradził się, gdy go Cesarz Aleksander II zagadnął. Na dworze był bardzo mile widzianym i w ważnych chwilach spieszył mu z radami. Na początku r. 1861 otrzymał szczególną misyę do Paryża z powodu śmierci Fryd. Wilh. IV. Poznawszy już Napoleona III w r. 1857 przy załatwianiu sprawy neufszatelskiej, miał teraz przyjrzeć się ludziom i rzeczom i ogólne wrażenie nowemu królowi odmalować. W lecie t. r. był w Baden-Baden i stamtąd przysłał Wilhelmowi V memoryał o organizacyi Niemiec. Tymi memoryałami jak gdyby krzyczał: „Dopuśćcie mnie do roboty.“ Na jesieni 1861 głośno nazywał związek bundestagowy niedorzecznością, a siłę zbrojną niemiecką uważał za potrzebną, jak chleb do życia.

Król wraz z Roonem, pracujący już wówczas nad pomnożeniem wojska wbrew konstytucyi i Izbie, na początku r. 1862, myślał powołać Bismarcka do rządów; ale znowu teraz Schleinitz, jak przed dziesięciu laty Rochow, wystawił mu świadectwo „idealisty,“ i nominacya pozostała *in petto*. Rwący się do rządów ambasador zamienił tylko Petersburg na Paryż. Tu był krótko, zaledwie kilka miesięcy r. 1862, ale zrobił bardzo wiele: poznał czczość Napoleona III, lichotę jego imperyalizmu, wątłość podstaw narodowych rządu. Do obserwacyi miał jak najlepsze stanowisko: sam patrzał z podełba, a ci, których podglądał, bawili się nim jak wesołym burszem. Niesłychane uprzejmości w Compiegne oczerowały były przed rokiem Wilhelma V; za to teraz Bismarck czarował rząd i wyższe dworsko-dyplomatyczno - arystokratyczne towarzystwo paryskie -- czem?— ograniczonością swego umysłu. Uważali go wszyscy za plytkiego gadułę, za półgłówka, niespełna rozumu, trefnisia (*Drôle de Corps* nazywała go Eugenia). A on, ich wszystkich podpatrując, wszystkimi się bawił. Nie zerwał z przeszłorocznem marzeniem o przymierzu prusko francusko-rosyjskiem — marzeniem, które z ust Palmerstona wyrwało było okrzyk: „Stan brzemienny sześciu wojnami!“: migał wciąż przed oczyma współdziałaniem Prus z Francyą. Rozpierając się wygodnie z planami swymi, głośno mówił o poprawieniu figury geograficznej pruskiej, używając przytem języka obrazowego: od strony Hessyi elektoralnej i Ks. Nassauskiego brakuje Prusom brzucha, od strony Hannoweru mają jakby łopatkę wyjętą. Dopóki figury swej nie poprawią, będą zawsze zależne od Austryi i Rosyi. W swej ciemni optycznej ukazywał Napoleonowi III Belgię, nawet brzegi Renu poniżej Weissenburga. Pozostało z tych czasów podanie, jakoby raz odezwał się, że nie jest tak zagorzałym Niemcem, aby nie miał spokojnie patrzeć na kompensaty terytoryalne, nieobrażające interesów pruskich. Oczywiście, mógł myśleć tylko o Palatynacie. On sam jeszcze w styczniu 1874 r. w sejmie pruskim nazwał podanie takie czarną potwarzą; ale może właśnie potwarz była białą a zaprzeczenie czarnem: wątpliwość stoi.

Ostatni z Bonapartydów na tronie tak ambasadora pruskiego polubił, że można powiedzieć, iż do niego przylgnął: zaprosił go do Fontainebleau, zaprosił do Biarritz. Rozmawiał z nim o wszystkiem, rozmawiał i o niczem. Spór coraz bardziej zaostrzał się w Berlinie. Ministeryum Hohenlohe-Izenplitz dawało tylko firmę rzeczywistej bojowej imprezie samego króla i jego jedynego rzeczywistego ministra, Roona. Król 119 batalionów, a nadto odpowiednią liczbę jazdy i artyleryi, utrzymywał nad etat: litera konstytucyi była pogwałconą. W maju 1861 powstało wielkie stronnictwo postępowe, które teraz miało większość w Izbie i przy prawach jej stało twardo. Walka konstytucyjna, najwybitniejsza może w XIX w., zawrzała. Na dziejowem niebie Prus ukazały się czarne chmury, groźniej może jeszcze występujące od tych, które przed pół wiekiem napędził był wicher napo-

---

3)

Janina Baudouin de Courtenay.

ISMAEL

(Kontur psychologiczny).

IV.

Pewien zwrot jednak szlachetniejszy w uczuciach względem Żydów nastąpił niespodzianie po jednym z owych *qui pro quo*, o których wspominałem wyżej. Mając już lat piętnaście, przechodziłem kiedyś w asystencyi służącego przez jedną z uboższych dzielnic miasta, zamieszkanej w znacznej części przez Żydów, aby odwiedzić kolegę. Skręcałem właśnie w jedną z ulic żydowskich, gdy kilku podchmielonych robotników, spotkawszy niewielkiego żydziaka, stanęło przy nim i obsypało go gradem wstrętnych przezwisk i żartów. Gdy zaś przerażone dziecko usiłowało wymknąć się im, przyciskając się trwożnie do muru, jeden z pijaków porwał je mocno za ramię i tak boleśnie je przygniótł, że się zaniosło od płaczu. Ulegając popędowi wzburzenia, rzuciłem się do draba i zawołałem:

— Jak śmiesz tak znęcać się nad dzieckiem, szkaradny człowieku?!

Pijane oczy zatrzymały się na mnie wyzywająco i impertynencko.

— A tobie co do tego, pysku żydowski? Z drogi, parchu, bo i ty przy tem oberwiesz!

Niby kamień spadł mi na głowę po tych słowach. Wgryzły się we mnie te wilcze zęby obelgi, których strasznego bólu nie doznawałem jeszcze dotąd. Byłem za młody i za naiwny, abym mógł przyjąć obojętnie wymysły ulicznego pijaka. Schwyciłem go więc za ramię i zawołałem drżąc z gniewu:

— Nie wiesz sam, co gadasz, nikczemniku! Nie jestem Żydem, tylko chrześcianinem wiele lepszym od ciebie!...

— A w samej rzeczy, gadasz młody panie, wcale nie z żydowska, całkiem po naszemu?! — ozwał się z naturalnem zdziwieniem i głosem zupełnie już odmiennym. No, to przepraszam za omyłkę... ale cóż to pana obchodzić miało, żeśmy pożartowali trochę z tym bachorem?

Odwróciłem się pogardliwie i odszedłem, pełen drżenia wewnętrznego, unosząc na zawsze wrażenia tej chwili. Byłem tak dalece pochłonięty własną obrazą, że wylegitymowawszy się z naciskiem ze swej narodowości i wiary, nie próbowałem nawet ani słowem otworzyć oczu tym drabom na ich nikczemność względem niewinnego stworzenia.

Przez długi czas scena ta była dla mnie wprost męczącą zmorą. Z początku bolała mię wyłącznie jako wypieszczonego jedynaka i wielkiego panicza, którego dotknięto po raz pierwszy brudami ulicy. Pamięć wymysłów doskwierała mi tem bardziej, że w najlepszej wierze zaliczono mię do rodzaju ludzi, którym jedynie brzydziłem się na ziemi. Haniebna igraszka losu!

Następnie wspomnienia moje różniczkowały się coraz wyraźniej. Myśl moja, odrywając się od autokontemplacyi, poczynała się zwracać coraz częściej do tego mizernego, wylęknionego dziecka i jego roli w owej scenie.

Dzięki przybranej matce mojej — byłem chłopcem wyjątkowo szczęśliwym — nie wiem czy dzięki jej tylko także, czy raczej dzięki tej innej wielkiej a nieznanej mojej matce, to jest przeszłości rasy mojej całej, pełnej bólów i mąk jawnych i tajemnych—byłem prócz tego wyjątkowo wrażliwym na niesprawiedliwość i na krzywdę wszelkiego stworzenia. Spojrzawszy w szeroko otwarte źrenice żydziaka, zobaczyłem rąbek jakiegoś strasznego świata, i od tej chwili, ukazując mi się w momentach i postaciach rozmai-

leoński. Przewidywano przewrót, rewolucyę, przypominano Karola I i Strafforda. W jednej z rozmów poufnych dotknął tego stanu przed burzą i Napoleon III i wymówił także słowo: rewolucya. Bismarck osadził go na miejscu: „N. Panie, w Prusiech rewolucye robi król, nie lud.“ Nie było to prawdą, ale było argumentem, tem skuteczniejszym, że sam przedmiot sporu już świadczył, iż, jeżeli kto teraz zrobi rewolucyę w Prusiech, to chyba nie lud. Nareszcie Bismarck doczekał się powołania. D. 23 września 1862 r. druga Izba pruska odmówiła pieniędzy; nazajutrz ambasador paryski miał już nominacyę na ministra stanu i tymczasowego prezesa ministrów. D. 30 września pierwszy raz przemówił do sejmu. Pamiętne były to słowa.

Tydzień polityczny. Jednym z warunków, narzuconych przez Stany Zjednoczone przy umawianiu się z posłem franc. Cambonem o warunki pokoju z Hiszpanią było dalsze prowadzenie wojny aż do formalnego spisania preliminaryów. Z warunku tego skorzystał Devey dla opanowania Manili. W końcu przeszłego tygodnia posłał komendantowi hiszpańskiemu wezwanie z terminem jednej godziny do poddania i warowni i miasta. Po terminie rozpoczął ogień, po ogniu miał zaraz warownie i miasto. Hańbiącego aktu nie chciał podpisać sam Augusti (czy też Augustin), uciekł na jakiś obcy okręt, lecz znalazła się inna ofiara konieczności, i podpis swój dała. Wypadek stał się w piątek lub sobotę. Po opanowaniu stolicy Devey wysłał bezzwłocznie okręty dla zajęcia kilku wysp pomniejszych, prawdopodobnie tych, które sobie Amerykanie upatrzyli na stacye morskie. Powstańcy na Luzonie chwilowo nie mają co robić; ale Europa ma. Między gabinetami toczą się układy, mocarstwa nanowo się grupują lub w dawnych ugrupowaniach krystalizują. Amerykanie mogą liczyć na Anglików, Hiszpanie na trzy mocarstwa głównie działające w Azyi wschodniej. Własne interesa skłonią je do niewpuszczenia Amerykanów: lepszy słaby od silnego.

We Francyi zamiast rewizyi procesu Dreyfussa, będzie wielki proces polityczny przeciw tym, którzy się jej dopominają.

Parlament angielski w końcu przeszłego tygodnia poszedł na wypoczynek. Opinia niepokoi się klęskami dyplomacyi angielskiej w Chinach. Budowa kolei na północ i wschód od Pekinu, pomorzem Liao-tongu i ponad wewnętrznem morzem Żółtem ominęła Anglię; ominie ją wiele innych rzeczy w niedalekiej przyszłości, a utyskiwanie na Chińczyków, że nie dotrzymują zobowiązań traktatu w Tientsin z przed lat trzydziestu kilku — dziś po takich przewrotach i w tak całkiem zmienionem położeniu jest albo dziecinnem, albo obłudnem. — O powstaniu w Chinach południowych nie było świeżych doniesień.

P. Curzon, gadatliwy organ parlamentarny rządu angielskiego, został vice-królem Indyj. Ministrowie porozjeżdżali się pod dachy z drzew żywych, z żywego błękitu; zostali w Londynie tylko wyrobnicy biurowi. Salisbury we Francyi, każdy gdzie może ucieka; ale nikt nie ucieknie od konieczności, choćby się ukrył przed troską. Ostatnie lata w. XIX rozstrzygają o wielkości, o samej przyszłości Anglii.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

OCHRONA LASÓW.

Ogłoszono w tych dniach uchwałę rady państwa o wprowadzeniu w Królestwie Polskiem prawa z r. 1888. W organizacyi administracyjnej widzimy pewną różnicę, którą przedewszystkiem wytwarza u nas brak ziemstwa. W Cesarstwie wybierają one członków do składu komitetów: u nas wejdą do nich bez wyborów: prezes dyrekcyi miejscowej i dwaj członkowie z grona właścicieli lasów, mianowani przez generał-gubernatora warszawskiego na przedstawienie gubernatora. Sprawa służebnościowa wymaga tu specyalnego załatwienia, więc też w tym celu powstaną komisye połączone, złożone z komisyj gubernialnych do spraw włościańskich i komitetu ochrony lasów. Między innemi ich zadaniami będzie podział lasów, obciążonych serwitutami włościańskimi, celem ustanowienia nad nimi nadzoru komisarzów do spraw włościańskich, urzędników zarządu lasów skarbowych i policyi; ustanowienie dla właścicieli lasów, obciążonych służebnościami włościańskiemi, terminu zalesienia działów wyciętych lub nieprawnie wyniszczonych, oraz stworzenie kosztorysu wykonania tego zalesienia przy pomocy urzędników lasów skarbowych.

Stanowczego terminu wprowadzenia ochrony jeszcze nie oznaczono. Prawdopodobnie w przyszłym roku już Królestwo Polskie będzie podlegało temu prawu ogólnemu, które od lat dziesięciu obowiązuje w Cesarstwie. Tego rodzaju reglamentacya prawna wywrze ogromny wpływ na stosunki i położenie ekonomiczne kraju. Prawo leśne obowiązujące na szerokich obszarach państwa, przychodzi do nas już wypróbowane przez praktykę dziesięcioletnią. Dowiodła ona, że w wielu miejscowościach przepisy nie odpowiadały potrzebom i całkiem omyliły rachubę. Z tego powodu przed rokiem zwołano w Petersburgu osobne narady, które miały na celu uzupełnienie i pewne zmiany w prawie ochronnem, wskazane przez doświadczenie. Wtedy to dopiero nasza sekcya rolna obejrzała się i zaczęła radzić nad tem, ażeby opracowawszy stosowny memoryał, przedstawić go sferom właściwym. Oczywiście było za mało czasu i energii na to, chociaż do tego kroku nawoływaliśmy sekcyę już przed paru laty; wiadomo bowiem było, że pierwej czy później „ochrona“ do nas przyjdzie. Chodziło o to, ażeby ona uwzględniła w zupełności przejściowe warunki ekonomiczne i kulturalne. Ogólne prawo ochronne nie może być wszędzie z całą ścisłością, ze wszystkimi paragrafami zastosowane. Może się wytworzyć pewna obosieczność niekorzystna. Nie wszędzie np. daje się stosować zupełny zakaz sprzedaży, nie wszędzie ta lub inna kategorya lasów może podlegać tym samym przepi-

---

tych, pociągał on mię i odpychał jednocześnie. Obce to, a mało w gruncie rzeczy znane mi horyzonty, dostrzegłem znowu w towarzystwie kolegów Żydów, przechowujących nieświadomie tradycyjne instynkty i dążności w mniejszym lub większym stopniu. W towarzystwie, w literaturze — stawały one nieraz przede mną, targając w duszy jakieś dziwne struny, oświecając ją nagle jakby przeczuwanem, niby znanem a nieznanem światłem.

Na ogół biorąc jednak, były to tylko nikłe na pozór epizody mego młodego życia, życia „szlachetnego arystokraty,“ któryby pragnął wszystkich wydziedziczonych bliźnich wprowadzić do swych złocistych podwoi. Pierwsze lata studyów uniwersyteckich, a więc pierwsze kroki samodzielnego młodzieńca, dały mi tyle wrażeń nowych, otwarły mi tyle perspektyw na rozmaite punkty świata, że dotychczas pojęcia moje uległy modyfikacyom większym lub mniejszym, dotychczasowe wrażenia zacierały się pod wpływem nowych wrażeń.

Dzień epokowy w mem życiu jak wielka krwawa łuna stanął przede mną nieprzygotowanym — i tak mię nagle oślepił, że przyklęknąłem przed nim bezsilny i ogłuszony, zanim mogłem bardo skoczyć do walki... i do ratunku siebie samego od siebie samego!

Na progu własnego mego żydowskiego życia obejrzeć się musiałem na dwa stosunki jednako ważne i święte, jak mi się wówczas zdawało. Jeden z nich, do matki mojej, najdroższy dotąd i zawsze w treści niezmienny, na me wyraźne żądanie zmienić się musiał powierzchownie i w mniej szczęśliwych istnieć warunkach. Natomiast inna miłość moja .. raczej romans mój tylko, zwany miłością — zakończył się na zawsze w sposób tak charakterystyczny, a tak niby naturalny w całości tego obrazu, że pominąć go tu nie mogę.

Nie będę, zresztą się spowiadał z całego jego przebiegu. Dość że zdawało mi się, iż kocham i jestem kochany. Było też w narzeczeństwie naszem dużo konwaliowej świeżości i uroku, był wdzięk tych kwiatów, co raz tylko kwitną dla każdego pokolenia, przekwitają z szybkością wiosennych bzów i konwalij, by znów zakwitnąć na inne wiosny, dla innych dzieci ziemi. Moje, niestety, zwiędły i uschły inaczej, niż te codzienne kwiaty milionów...

Znałem chwile i doby przepastne jak piekło ..

Zaledwie dni kilka dzieliło mnie jeszcze od podróży do Niemiec. Wybierałem się bowiem na studya dopełniające do jednej ze słynnych starych wszechnic niemieckich. Rozmawialiśmy właśnie z matką o blizkiem naszem rozstaniu, tem pierwszem dłuższem w naszem życiu i opanował nas nastrój bardzo melancholijny, chociaż ze względu na nią starałem się go przezwyciężyć wszelkim sposobem. Pamiętam chwile te doskonale. Biorąc jej rękę, aby ucałować, powiedziałem z uśmiechem:

— Obawiam się, mateczko, byś nie patrzyła na mnie, odprowadzając mię jutro na statek, jak matka Mojżesza, kiedy puszczała niemowlę swe w koszu na fale Nilu... Z woli Jehowy i twoje „niemowlę“ wypłynie jakoś z „burzliwej świata fali...“

W oczach mej matki mignęło błyskawicznie niby trwożne pytanie, niby zdziwienie, ale natychmiast przybrała znowu zwykły swój wyraz i odparła, uśmiechając się smutnie:

— O tak! wolałabym teraz naprawdę być w roli córki Faraona, aby cię zabrać choć na krótko jeszcze z tego nowożytnego kosza o kotle parowym.

— Zabrałabyś mię więc już po raz drugi — ale nie jestem Mojżeszem, ba nie, jestem nawet najskromniejszym Żydem! A jednak błogo być musi należeć do tej wysokiej a wybranej rasy! — mówiłem dalej wesoło, aby odwrócić jej uwagę od naszego smutku. — Pocieszam się przynajmniej tem, że rysy moje, jeżeli nie pochodzenie, są tak izraelskie. Pamiętasz, jakeś to się gniewała, kiedym się zjawił jako Uryel Acosta pod rękę z piękną brabianką — Judytą na balu kostiumowym

som. U nas np. drzewostan tak jest nędzny, że już właściwie w wielu miejscach niema czego ochraniać; raczej należałoby przedsięwziąć środki prawne, dopomagające do zadrzewiania. Co do terminu bezwarunkowej ochrony, również należałoby pewne zmiany poczynić. Tak np. w Cesarstwie las młody nie ma najmniejszej wartości w handlu. U nas zaś już po krótkim okresie hodowli daje się eksploatować z takimi zyskami, jakie gdzieindziej dają lasy stare.

To wszystko należało uwzględnić i zawczasu dostarczyć odpowiednich wskazówek. Nasi jednak właściciele lasów i tym razem nie mogli się pozbyć swojej cechy znamiennej: opieszałości. Zwlekali do ostatniej chwili i ani memoryału nie opracowali, ani nie wysłali specyalnych delegatów. Jeżeli więc obecna ochrona weźmie ich w ścisłą kuratelę, sami temu będą winni. Lasy w Królestwie Polskiem wymagają nawet surowszej ochrony niż w Cesarstwie, bo gospodarka rabunkowa wprost doszła do jakiejś orgii niebywałej. Bardzo więc dobrze, że prawo nareszcie swoją rękę na to położy. Obok wszakże największej surowości to samo prawo może dopomódz do prawidłowej eksploatacyi, która niejednemu właścicielowi wzmocniłaby podstawy dóbr zachwianych. Ale na to właśnie niezbędne było rzetelne opracowanie zarysu naszych warunków i potrzeb, które sfery prawodawcze uwzględniłyby chętnie. Uzupełnienia w prawie są jeszcze możliwe; a im wcześniej one nastąpią, tem będzie lepiej. Należy tylko poczynić zabiegi odpowiednie. Zapowiedź wprowadzenia prawa nawet daje wyborną sposobność do takich starań, szczególnie w zakresie sztucznej hodowli lasów. O ile wiemy, ochrona leśna była najprostszą drogą do wyjednania zasiłków i kredytu na zadrzewianie pustych przestrzeni, na hodowlę i pielęgnowanie sztucznych lasów. Ponieważ, jak rzekliśmy, u nas już bardzo młode lasy dają się eksploatować z pożytkiem, więc taka organizacya pomocy byłaby niezmiernie ważnym czynnikiem w rozwoju gospodarki i wzmocnieniu podstaw ekonomicznych kraju.

LISTY PETERSBURSKIE.

Moralność i wódka. — Kartka z przeszłości. — Zakaz. — Kupcy pokrzywdzeni. — Krwawe rozrywki. — Kara cielesna.

Moralność i wódka stały się dziś już nie tylko kwestyą teoretyczną, nietylko zajmuje ona publicystów i różnych organizatorów bytu, posługujących się środkami prawnymi, ale jest realnem zjawiskiem w życiu codziennem. Teorya zastosowana w praktyce, zaczyna odsłaniać coraz bardziej swoje braki i luki, coraz bardziej przekonywać, że życie i jego warunki nie zawsze dają się wtłoczyć w formę, zawczasu z tygla prawodawczego odlaną; często bowiem trzeba uwzględnić rdzenne czynniki życia, warunki bytu i rozwoju, często wezwać do pomocy socyologię. Taka tylko droga może prowadzić do udoskonalenia środków i metod leczniczych. Nietuzinkowy lekarz z powołania, mając przed sobą chorobę organiczną, zwykle pyta chorego o jego tryb życia i wychowanie od dzieciństwa, o charaktery i skłonności rodziców. Następnie z opisów jego, jeżeli są dokładne, wysnuwa wnioski trafne, uwzględnia i czynniki atawistyczne, i dzidziczne, i wychowawcze. Na podstawie tych danych stawia dyagnozę sumienną i zaleca środki kuracyjne, możliwie najskuteczniejsze. W taki właśnie sposób powinny być leczone choroby organizmu zbiorowego. Medycyna społeczna stawia jednak w tej mierze zaledwie pierwsze kroki. Kiedy np. zamierzono wprowadzić monopol spirytusowy, jednocześnie na różnych posiedzeniach naukowych zaczęto rozważać przyczyny alkoholizmu. Jest to tak bogata dziedzina, że jeszcze i w przyszłości będzie niejednokrotnie przedmiotem długich rozważań i roztrząsań.

Otóż w tej mierze niewątpliwie doniosłe znaczenia będą miały dane z przeszłości, takie np., jak notatka zamieszczona w *Uralu*, której autor dowodzi, że skłonność do napojów wyskokowych była znana w zamierzchłych czasach starożytnej Rusi. Pomimo, że wódkę wynaleziono dopiero w XIII wieku, pijaństwo już stało się plagą znacznie wcześniej; upijano się miodem i piwem.

Pito i u nas niegdyś i dochodzono do orgij strasznych; ale dopuszczały się tego przeważnie tylko sfery uprzywilejowane. Podczas gdy w domach i zjazdach szlacheckich grzmiały wiwaty, gdy wino i miód lały się strugami, gdy biesiadnicy odurzywszy głowy tracili miarę, a nabierali zbyt wielkiej fantazyi — lud i mieszczaństwo pracowali trzeźwi w pocie czoła. Alkohol i pod wpływem jego wytworzone nawyknienia, wady, zwyczaje, skłonności, przechodząc z krwi do krwi przez szereg pokoleń mogły wpłynąć na charaktery i usposobienia pokoleń dzisiejszych. Gdyby w organizacyach monopolowo-antialkoholowych wzięto pod uwagę te czynniki, to kto wie, czy tym sposobem, odbiegając nieco od jednolitości urządzeń, nie stworzonoby środków łatwiej i doraźniej prowadzących do celu.

Biorąc w pewne karby czynnik demoralizujący—wódkę, należy pomyśleć o środkach, któreby wzmocniły gmach moralności społecznej, podmyty przez okowitę. Przeciwdziałania czysto formalne nic nie pomogą; trzeba wejść w głąb życia. Prawo zaczyna już dziś sięgać do zwyczajów, obyczajów i nawyknień, podtrzymywanych przez niespożytą siłę alkoholu. Oto obecnie na sławnym dorocznym jarmarku w Niższym Nowogrodzie zniesiono rozrywki, „drogie sercu kupieckiemu,“ jak się wyraził jeden z publicystów petersburskich. Mianowicie usunięto wszelkie chórzystki, solistki, harfiarki i kuplecistki, które będąc siłą przyciągającą, wytwarzały ogniska dzikich orgij. Wiadomo dziś już powszechnie, że się wytworzyły nawet osobne przedsiębiorstwa transportowe, które zbierały młode dziewczęta z różnych okolic państwa i wysyłały nad Wołgę. Podejścia i obietnice dostarczenia godziwych środków zarobkowania, wyciągnęły także sporo kobiet z Warszawy, które stały się ofiarą podstępu i utonęły na zawsze w bagniskach społecznych. Czy zakaz obecny na długo zapobiegnie złemu? Kupcy tak się przyzwy-

---

w ambasadzie? Wszyscy przecież znajdowali, że byłem wspaniałym Acostą.

— Masz w ogóle piękny typ wschodni— odpowiedziała niechętnie matka — wyidealizowany i delikatny... Zresztą i Żydzi bywają przecież nadzwyczaj piękni i efektowni.

— Dziękuję ci, mateczko, za tak „pochlebne“ uznanie, chociaż nie powiem aby te moje wdzięki sprawiały mi wielką przyjemność... Zwłaszcza ze względu na nieporozumienia, których bywały powodem... Mam nadzieję, że z etycznej strony przynajmniej nie odznaczam się równie łudzącem podobieństwem, bo przecież chciwcem, tchórzem, ani arogantem— nie jestem, o ile mi się zdaje... No jeszcze chyba na zdolności Uryela lub Spinozy zgodziłbym się od biedy!

— W żartach twych — przerwała mi szybko matka, zapalając się nagle w sposób dla mnie niezrozumiały — przegląda uparcie myśl dla mnie przykra, a nawet nienawistna!.. Zdajesz się być poważnie przekonany, że Żydzi należą naprawdę do jakiejś przeklętej rasy, noszącej we krwi swej potworne grzechy ludzkości, że cechy te występują niezależnie od warunków społecznych i historycznych, że powstały nie od wiecznego prześladowania i tułactwa, inkwizycyi i nędzy, nie od wyjątkowo obronnego ich położenia wobec wrogich mas innych plemion — lecz że to wina ich krwi „gadzinowej“ i ich „żółtego“ ciała, jak ciemna tłuszcza powiada.

— Ależ, mateczko, mylisz się, posądzając mię o jakąś szczególną nienawiść do Żydów! Widzę, że jesteś wprost oburzona na mą, jak ci się zdaje, żydofobię. Ależ uwierz mi, proszę, że nic a nic złego im nie życzę. Pozwól mi tylko całkiem spokojnie zaprzeczyć twemu zdaniu, które mi się wydaje zbyt skrajnem w przeciwnym kierunku... Każdy naród bywa zwykle oskarżany o rozmaite przywary. Żydom, co prawda, najhojniej sypią się ujemne epitety... bo... bo też i cechy ich wybitne są z pewnością liczniejsze i bardziej urozmaicone. Nikt o nich nie powie, że są głupi i tępi, ale wszyscy mówią, że są chciwi i podstępni, bo takimi są w istocie. Dlaczego mamy zamykać oczy na ich nerwową tchórzliwość, na ich materyalizm, na odmienne od naszych pojęcia o całej treści życia?... Prawda, że odmienne też warunki powszechne prześladowanie spotęgowały i wyprowadziły na wierzch brudy właściwe zbiorowej duszy izraelskiej... ale... ale tkwiły one w niej od wieków i nie bez przyczyny wszystkie narody świata znienawidziły specyalnie ten naród naprawdę nieszczęśliwy. Od wieków tuła się i narzeka, od wieków czemuś prześladowany. Nie myśl zresztą, że lekkomyślnie powtarzam tylko cudze słowa... Myślałem i czytałem trochę o życiu Izraelitów i między innemi — trafiłem niedawno w Biblii na frazes, przypominający bardzo teraźniejszość: „im więcej trapili Egipcyanie lud izraelski, tem więcej się rozmnażał i tem więcej rósł, tak iż ściśnieni byli Egipcyanie dla synów izraelskich...“ Prześladowani a trapieni byli i rozradzali się zastraszająco, a jednak nie usiłowali wolności swej wywalczyć mieczem, jak wszystkie inne ludy współczesne według współczesnego ideału. Czekali tylko zmiłowania bożego, cudu, Mojżesza — tchórzliwe niedołęgi! Jak mało mają Machabeuszów w swych długich starych dziejach — za to cudownych Samsonów i Dawidów, podstępnych Judyt — wcale im nie brakuje! Najczęściej walczą złotem okupów i pięknością chytrych kobiet, nie zaś żelazem miecza.

— Nie bądź że tak powierzchownym i zechciej sobie przypomnieć, że byli ludem spokojnym, handlowym, który wówczas już brzydził się krwi przelewem, gdy my tymczasem zaczynamy się tem brzydzić dopiero w końcu wieku XIX-go.

(C. d. n.)

czaili do rozrywek od dawna uprawianych, że dziś nie mogą się pogodzić z losem. Rosyjskie pisma humorystyczne przedstawiają ich płaczących po stracie, a z drugiej strony podsuwają im na pociechę inne mniej jaskrawe procedry, w których zajęły miejsca byłe chórzystki, harfiarki itd. Humor ten jest istotną prawdą życiową.

Zabawy jarmarczne nad Wołgą stały się tak powszedniemi, że pomimo swej jaskrawości i nawet skandaliczności przestały razić. Ale oto wytworzył się inny rodzaj rozrywek, które grożą przejęły ludzi wrażliwych i nieobdarzonych instynktami dzikimi. W jednym z ogrodów charkowskich, zwanym „Bawarya," codzień odbywa się krwawe widowisko wobec tysiącznej publiczności, żądnej wrażeń. Nietylko szary tłum, lecz „inteligencya" także chętnie uczęszczała na te przedstawienia. Afisze i gazeta miejscowa, *Jużnyj Kraj*, obwieszczają, że kuglarz Kozłow odrąbie głowę 15—16-letniemu młodzieńcowi i publiczność ujrzy strumienie krwi. Jakoż istotnie wyprowadzał on na scenę młodzieńca bladego, obwiązywał mu głowę białą szmatą, kładł na stole, obitym czarnem suknem i gdy uwaga rozgorączkowanej publiczności dochodziła do szczytu natężenia, on spuszczał zasłonę, zamiast człowieka kładł manekina. Tymczasem słuchacze ryczeli: „Po co kurtyna! Odrąbuj głowę jak się należy, bez oszukaństwa! Myśmy przynieśli ci prawdziwe, zapracowane pieniądze, więc prawdę nam pokazuj!" Wtedy kuglarz podnosił zasłonę, brał w ręce ogromny topór, zbliżał się do młodzieńca leżącego i z wielkim rozmachem uderzał ostrzem. Głowę odrąbaną brał za włosy i pokazywał publiczności. Krew potokiem lała się z gardła przeciętego, widzów zaś ogarniała groza i zarazem entuzyazm. Kuglarz nie poprzestając na tem, wzywał obecnych na przedstawieniu lekarzy, którzy wchodzili na scenę, oglądali ofiarę i stwierdzali jej śmierć. Po chwili ukazywał się na scenie ten sam młodzieniec zdrowy i żywy, ku wielkiemu niezadowoleniu publiczności, która pragnęła jego rzeczywistej śmierci.

Byłoby to niepodobne do wiary, gdyby faktów tych poważnie nie stwierdziła prasa rosyjska. Ujawnianie i potępianie tego rodzaju widowisk może się przyczyni do energiczniejszego przeciwdziałania, które powinno się zasadzać na ułatwieniu organizacyi rozrywek ludowych, odczytów i widowisk, tudzież na skrępowaniu wszelkich podobnych kuglarstw, wyzyskujących i rozbudzających najniższe i najpotworniejsze instynkty ludzkie. Im szerzej i obficiej światło będzie się rozlewało śród ciemnych wielotysięcznych mas ludności, im mniej przeszkód ono napotka, tem bardziej zanikać będą nizkie instynkty, tem prędzej dadzą się usunąć środki kary, niezgodne z zasadami humanizmu. Ze środków tego rodzaju dotychczas jeszcze istnieje w wielu miejscowościach państwa kara cielesna. Jak wiadomo, VI Zjazd lekarzy w Kijowie postanowił starać się o usunięcie jej śród włościan a opracowanie wniosków odpowiednich polecił komisyi osobnej, która przedewszystkiem postanowiła zebrać możliwie najobfitszy materyał w tej sprawie. Obecnie jeden z członków owej komisyi, dr. Żbankow, w artykule p. t. „Głos ziemstwa o karze cielesnej" (*Russkoje bogactwo*) podaje zabiegi zebrań ziemskich w tym przedmiocie. Już prawie od lat dwudziestu instytucye te wygłaszają swoje zdania, przeciwne owej formie kary. Tylko pięć ziemstw: włodzimierskie, wiackie, orłowskie, charkowskie i jarosławskie, dotychczas uparcie milczały w tej materyi. Wogóle większość zawsze występowała i występuje przeciwko takiemu wymiarowi sprawiedliwości. Były wszakże i wręcz przeciwne, bardzo charakterystyczne zabiegi. W r. 1895 singulejewskie ziemstwo powiatowe starało się o zastosowanie i uświęcenie... chłosty! Propozycya wyszła z ust naczelnika ziemskiego i poparta była przez wszystkich kolegów oraz *włościan*. Dziwne i niebywałe zachowanie się tych ostatnich dr. Żbankow wyjaśnia w sposób następujący: „Gdy na tem zebraniu naczelnicy ziemscy, pobierający od skarbu 600 rb. na rozjazdy, prosili, ażeby im pozwolono korzystać bezpłatnie z koni ziemskich, większość zawołała: „pozwolić, pozwolić!" Przy zamkniętem zaś balotowaniu większość wypowiedziała się przeciwko temu postanowieniu." Tak samo włościanie, obecni na zebraniu, nie śmieli głośno i jawnie protestować przeciwko propozycyi utrzymania kary cielesnej. W okresie 1894—98 w sprawie chłosty rozprawiało 27 ziemstw gubernialnych, ale nie wszystkie czynnymi zabiegami poparły swe słowa. W guberniach: Moskiewskiej, Twerskiej, Wołogodzkiej, Jekaterynosławskiej, Nowgorodzkiej, Samarskiej i Symbirskiej kwestyi tej nie dopuścili do rozpatrzenia panowie prezesowie gubernialnych zebrań ziemskich, tłomacząc się tem, że sprawa wychodzi po za sferę zadań ziemstw. Na tej zasadzie czyniono przeszkody i w innych ogniskach ziemskich, oczywiście bez żadnych podstaw prawnych, bo według postanowienia senatu z d. 17 września 1896 r., obowiązkiem gubernatora jest wszelkie starania ziemstw ze swoimi wnioskami skierowywać do właściwego ministeryum. Dopiero sam minister przedstawia komitetowi ministrów wniosek odrzucenia zabiegów ziemstw gubernialnych. Ostateczna tedy decyzya zależy od uznania komitetu ministrów. Tymczasem po utrudnieniach i pretekstach ze strony prezesów zebrań ziemskich wiele ziemstw zupełnie zaniechało całej tej sprawy. Inne nie przestawały kołatać, ale bezskutecznie. Tylko woroneskie gubernialne, otrzymawszy w r. 1890 odpowiedź ministra spraw wewnętrznych z zaznaczeniem, że kwestya ta ma charakter ogólnopaństwowy, podało w r. 1891 nowe wnioski, na co nie otrzymawszy odpowiedzi, przedsięwzięło zabiegi po raz trzeci w r. 1898.

Niektóre ziemstwa żądały zniesienia chłosty wogóle, tj. uwolnienia całych mas ludności od tej kary, inne proponowały zniesienie jej dla tych, którzy skończyli kurs szkół elementarnych, stawiając przytem za zasadę skasowanie chłosty wogóle. Ale ponieważ wszelkie zmiany w prawodawstwie iść muszą bardzo długo i powoli, więc ludzie wnikający głębiej w całą rzecz, postanowili obrać inną drogę. Tak np. ziemstwo czernihowskie w r. 1892 podało wniosek zniesienia kary cielesnej tylko dla tych, którzy skończyli szkoły ludowe. Powołano się tam na słowa prof. Kistjakowskiego. Między innemi zasługuje na zaznaczenie następująca głęboka uwaga: „Kary cielesne rozbudzają pierwiastki brutalne i wogóle demoralizujące. Wytwarzają i podtrzymują popęd do gwałtów fizycznych, uświęconych przykładem. Część ludu, mniej rozwinięta pod względem umysłowym, widząc bicie i znęcanie się w imię prawa, przychodzi do przekonania, że gwałty brutalne nad ciałem swoich bliźnich nie są żadnem wykroczeniem przeciwko podstawom społeczeństwa."

Gdy kwestyę kar cielesnych znowu poruszono w r. 1894, ziemstwo czernihowskie, niczem nie zrażone, wychodząc z tej zasady, że nie jest jego zadaniem wytwarzać napoły uprzywilejowaną klasę ludności, wolną od chłosty, postanowiło starać się o zupełne zniesienie kary tego rodzaju. Ziemstwo petersburskie również wystąpiło z gorącym protestem przeciwko temu systemowi. W roku zaś 1895 komisya specyalna tego ziemstwa przyszła do wniosku, że kary cielesnej nie należy stosować do tych, którzy skończyli kurs szkół początkowych. Miała ona tutaj na względzie między innymi cele „pedagogiczne": „Uwolnienie od kary cielesnej wszystkich ludzi, którzy skończyli szkoły początkowe, będzie bodźcem do rozwoju oświaty ludowej." Co za smutny i znamienny bodziec! Do takich samych poglądów przyszły ziemstwa: kurskie, kazańskie, tambowskie i połtawskie. To ostatnie podało następujące motywy: 1) Szkoła podnosi umysłowy i moralny poziom uczniów. 2) Rodzice nie będą odbierali dzieci swoich przed ukończeniem kursu. 3) Gminy postarają się o zwiększenie liczby szkół.

Tak wygląda obecnie cała kwestya zniesienia kary cielesnej. Z tego ogólnego, acz pobieżnego rysu można mieć jakie takie pojęcie o zapatrywaniach i prądach, panujących w różnych warstwach i grupach społecznych. Już ten jeden fakt, że niema jednolitości zapatrywań w sferach oświeconych, jest bardzo znamiennym. Niemniej godnem uwagi jest traktowanie kary cielesnej jako środka pedagogicznego i jako bodźca do rozwoju szkolnictwa i oświaty ludowej. Co do wniosków i zabiegów, opartych na pobudkach czysto humanitarnych, nie wywalczyły one jeszcze uznania, ani też nie pochwyciły żadnej nici, która mogłaby nareszcie doprowadzić do określenia stanowczego tych zamiarów i czynów, jakie mają być przedsięwzięte w przyszłości. To tylko pewna, że niektóre grupy i kategorye społeczne w głębi ducha są zwolennikami chłosty, jako środka doraźnego na ciemnotę. Ani w czynach, ani słowach nic jednak nie widzimy takiego, coby zmierzało do stanowczego i masowego usunięcia tej ciemnoty. Mroki zalegają olbrzymie obszary; rozpostarły się nad ludźmi siołami. Śród tych mgieł i ciemności, jak w gęstym lesie, przygniecionym masami szronu, obwisły długie gałązki brzóz i wierzb płaczących i znaczą niemi ślady na skórze śnieżnej.

Paweł Krzyżanowski.

Z GALICYI.

Rozrywanie Austryi. — Komu potrzebna konstytucya austryacka?— Wartość jej dla Galicyi.—Stronnictwa i grupy polityczne. — Ich charakter i znaczenie.

Gdyby to nie wyglądało na paradoks, powiedziałbym, że w obecnej chwili trzy narody walczą o strzępki purpury państwowej Austryi. Mamy położenie, przypominające bajkę: szczupak, łabędź i rak. Na widownię polityczną tego dziwnego państwa, które wbrew wszelkim prawom historycznym urabiało się bez podstawy narodowościowej, wysunęły się naprzód trzy malutkie narodki z wielkiemi pretensyami, wręcz sprzecznemi sobie, a szarpiąc wóz w przeciwne strony, uniemożliwiły zupełnie ruch jego. Węgrom tyle chodzi o Austryę, co psu o piątą nogę. Oni, posiadając skrawek Adryatyku, okienko, przez które mogą komunikować się z całym światem i mając możność stworzenia własnej marynarki, kpią sobie z reszty Austryi, która uważają za rynek dla ich produktów. Prowadzą więc na własną rękę politykę madiaryzowania Serbów, Bośniaków, Słoweńców i Rusinów, Austryi zaś proponują, ażeby się otoczyła od nich pasem celnym. Osobne finanse już mają. Armia jest niby wspólna, ale jeśli na manewrach spotka się oddział węgierski z austryackim, Węgrzy strzelają do Austryaków ostrymi nabojami. Wszystko to nie przeszkadza im wszakże mówić o — „wielkiem stanowisku państwowem Austryi,"

której za hetkę pentelkę nie mają. Oczywiście, że w takich warunkach: czy istnieje w Przedlitawii konstytucya, czy nie, czy parlament rządzi, czy ośławiony § 14 — jest to dla nich obojętnem. Węgrzy rządzą się samodzielnie i o tyle tylko zależnie od Austryi, a raczej od wspólnego rządu, ile sami chcą. Czy w Przedlitawii będzie monarcha konstytucyjny lub nie, to ich nie obchodzi, bo on ma osobny układ z Węgrami.

Może konstytucya potrzebną jest Niemcom austryackim? Bynajmniej. Ich ideałem państwowym jest rządzić innymi, ale czy oni rządzić będą przy pomocy konstytucyi i parlamentu, czy bez konstytucyi i parlamentu, to dla nich również jest rzeczą obojętną. Oni chcą panować w Austryi, zajmować stanowisko uprzywilejowane w państwie, wcale zaś nie dbają o rzecz tak marną, jak zasady lub dążności do stwarzania coraz lepszych form wspólnego z innymi narodami pożycia. Dali tego najlepszy dowód odsunięciem się od wszelkich układów, mających na celu wyszukanie tej formy. Nieodżałowany Bismarck dał im przedsmak polityki wilczej, która rozbudziła ich apetyty i pokazała w przyszłości znowu niepodzielne panowanie nad innymi. Oczywiście, wychodząc z tego założenia, uważają każdego za nieprzyjaciela państwa i swego, kto tylko śmie upomnieć się o swoje prawa. Z tej racyi są nieprzejednanymi wrogami Czechów i Polaków, od chwili, kiedy ci ostatni zaczęli popierać politykę Czechów.

Czesi, stworzywszy sobie na nowo osobnego bożka, o którym od kilku wieków zapomnieli, pod postacią historycznych praw państwowych, wszystkie siły zwrócili do odzyskania ich, mało troszcząc się o to, czy im to prawa przywróci ta lub inna forma rządu, bo jeżeli nie przywróci— konstytucya nie jest dla nich zbawieniem, a „paragrafy“ różne przeżyli już i znają je dobrze.

Biorąc więc rzeczy tak, jak one są, konstytucya austryacka potrzebna jest dla narodów upośledzonych i wyzyskiwanych przez rząd, gdyż drogą parlamentarną, jakkolwiek nie mogą wiele zrobić, mogą wszakże przynajmniej głośno się skarżyć na krzywdy im czynione. Narodów tych nie trzeba brać w znaczeniu ich przedstawicieli w Radzie państwa, gdyż dziwnym zbiegiem okoliczności „przedstawiciele“ owi najczęściej albo sami siebie reprezentują, albo są reprezentantami własnych kapitałów, a najwyżej — grup, warstw społecznych, stronnictw lub ich odłamów, prowadzących agitacyę wyborczą. Do kategoryi upośledzonych należą Polacy w Galicyi, bo rządowa opieka jest możliwie mała, a większość Koła polskiego, jako organizacyi politycznej, idzie łącznie z rządem. Ci panowie bronią konstytucyi — w zasadzie słusznie, niesłusznie wszakże o tyle, że z niej korzysta bardzo mała cząstka wybranych. Mniejsza o formę i charakter korzyści, to tylko pewna, że większość przedstawicielstwa polskiego w Radzie państwa, będąc reakcyjną, nie waha się wrzekomo dla obrony konstytucyi wołać pomocy żołnierzy austryackich przeciw własnym współbraciom, chwalić głośno „sądy doraźne,“ jak to czyni p. St. Tarnowski, prezes „umiejętności krakowskich“ i bronić za ich pośrednictwem nie uciskanych, ale uciskających.

Przy takim stanie rzeczy konstytucya austryacka dla Galicyi przez mniejszość, stojącą na czele rządu, jest lekceważoną lub tłomaczoną według własnych celów, przez większość rozumianą tylko jako prawo hałasowania w czasie wyborów i gadania mniej lub więcej cierpkich uwag pod adresem przeciwników. Z jednej strony stoi biurokracya polska, zorganizowana przez rząd niemiecki i garstka rozmaitych mniej lub więcej uczonych oportunistów, z drugiej masa obojętna przez nieświadomość. Z jednej — kapitał i własność ziemska szlachecka, z drugiej — ubogi chłop i mieszczanin, nieuświadomiony politycznie, a wyzyskiwany ekonomicznie przez Niemców, Czechów i Węgrów, o ile to dotyczy wytwórczości na jakiemkolwiek polu lub przez Żydów — o ile oni pośredniczą między obcymi wytwórcami a ubogimi i niebronionymi przed wyzyskiem spożywcami. Praca ekonomicznego podniesienia się kraju idzie bardzo powoli, a rozgoryczenie i niezadowolenie postępują olbrzymimi krokami. Większość jest głodna, a głód jest bardzo ryzykownym politykiem i żądania swoje wypowiada dla Austryi bardzo niebezpiecznie: mniejsza o to, czyja ręka da jeść, byle dała. Tego rodzaju oportunizm, mogący być szkodliwym i dla państwa i dla społeczeństwa, jest rezultatem trzydziestoletniej polityki stańczyków, popierających „sprzyjający nam rząd.“ Wdzięczna i piękna praca czeka jeszcze ekonomistę, który na podstawie *porównawczej* wyrazi teraźniejszy stan ekonomiczny Galicyi, jej produkcyjność, jej zasoby, kapitały, gospodarstwo handel, przemysł, ale tej pracy nie podejmie się żaden profesor i uczony galicyjski, bo straci popularność i urząd.

W łonie tego społeczeństwa, pognębionego moralnie i materyalnie, istnieje tylko jedna organizacya silna, poważna konsekwencyą swoją, uważana przez wszystkich za szkodliwą dla społeczeństwa galicyjskiego, a jednak rządząca krajem — stańczycy. Po za nią są tylko kółka i kółeczka, mające zwykle na celu pod pokrywką spraw publicznych, wzajemne wywyższanie się i wspieranie lub grupy polityczne szkodliwe. Powiemy o nich słówko.

Dwie warstwy społeczne — lud i mieszczanie, są najbardziej upośledzone, stąd też całą siłę skierowano ku podniesieniu ich. Nie będę mówił o rozmaitych stowarzyszeniach, których zadaniem jest wzajemna pomoc lub zabawa z pozłotą polityczną, ale tylko o tych zawiązkach organizacyi, które mają cele społeczne i polityczne. Pierwsze miejsce pod względem szkodliwości należy się niewątpliwie t. z. *Stojałowczykom*. Stojałowski — to jeden z tych wichrów politycznych, który nigdy nie wie, w jaką stronę się zwróci. Sukienka kapłańska zbliżyła go przypadkowo do ludu — w tej więc sferze rozpoczął awanturniczą swoją sztukę. Gdyby żył w w. XVII, poszedłby na Sicz i tam szukał znanymi sposobami „rycerskiej sławy“; gdyby żył w w. XVIII — byłby niewątpliwie hajdamaką, nie dlatego, ażeby potrzebował rabować i mordować, ale że zaciekłość jego natury i bezwzględność nie pozwoliłyby mu się pogodzić z żadnym porządkiem społecznym; gdyby żył na początku w. XIX — byłby się niezawodnie znalazł w armii Napoleona, nie w obronie sztandaru tej lub innej idei, ale dlatego, że bezwzględność wodza dawała mu pole do wichrzenia. Teraz polityka „w ramach konstytucyi“ zrobiła z niego publicystę-hajdamakę. Ponieważ los postawił go najbliżej ludu, nadużywa stanowiska i słowa, ażeby w duszę tego ludu zaszczepić truciznę własną. Dokąd on zajdzie? Nie wiadomo. Może zajść bardzo daleko, to tylko pewną jest rzeczą, że na drogę uczciwą ani sam nie trafi, ani innych nie zaprowadzi, chociaż o tej drodze mówi. Jest on podobny do błędnego ognika: bałamuci, ale na gościniec nie wyprowadzi nikogo. Sztab jego składa się z ludzi, u których zarozumiałość i miłość własna górują nad rozumem, taktem publicznym i uczciwością narodową. Stojałowczycy więc mogą wichrzyć długo, ale przeznaczeniem ich jest, narobiwszy szkody, rozpłynąć się w nicość.

Spokrewnieni z nimi są współwyznawcy Daszyńskiego. Jest to pokrewieństwo ducha, gdyż to samo co D. robi w sferze rzemieślniczej, Stojałowski robi między ludem: zamiast oświecać, bałamuci i obiecuje dać to, czego dać nie może; zamiast krytyki rządu, jego instytucyj i dążności ze swego stanowiska, posługuje się w pracy czynnikiem niemoralnym — nienawiścią; zamiast podstawy działań ekonomicznej, najwłaściwszej, wbija w biedne, zmęczone ciało polskiego robotnika klin nadziei na cudzej krzywdzie opartej i staje po stronie nieprzyjaciół swojej ojczyzny. Nikt go nie zmusza należeć do Koła polskiego, ale z tego nie wynika, ażeby działał wbrew interesom polskim.

Grupa ludowa, tytułująca siebie dziś szumnie „stronnictwem ludowem,“ powstała w znacznej mierze także na zbankrutowanym socyalizmie kosmopolitycznym. Grupa ludowa już dziś posiada dużo siły i znaczenia moralnego, nie wyszła wszakże dotychczas ze sfery „organizacyj kółkowych,“ złożonych z przyjaciół i znajomych. Jest to wada i zaleta młodości, wiek dojrzały wszakże nietylko powinien w górę kierować swoje loty, ale dla szerokiej myśli szukać szerokiej podstawy na ziemi. W działaniu jest ta grupa jeszcze zbyt gorączkową, w stosunkach niewyrobioną i zamkniętą do tego stopnia, że zdawałoby się, iż pragnie myśl pracy dla ludu zmonopolizować dla siebie; śród społeczeństwa nie posiada wielkich sympatyj przez pamięć na dawną barwę. Zamkniętość pozbawia ją siły i utrudnia rozrost, a monopol w dziedzinie myśli przetwarza się często w piękną skamieniałość. W tym wypadku żywotność samej idei nie pozwoli jej zesztywnieć. Dotychczas prowadzi ona działalność wyłącznie polityczną, jest więc jednostronną i sama sobie granice działalności ścieśnia; z czasem praca jej może się rozszerzyć na publicystykę, literaturę i życie we wszystkich jego objawach.

Ojcowie jezuici, którzy do każdej roboty muszą swoje noski wetknąć, noszą się jak kura z jajem z socyalizmem katolickim, bo to już taka moda: trzeba w Galicyi katolicyzm nietylko mieć na końcu języka, ale nawet na szynkach i kiełbasach przylepiać etykietki „katolickie.“ Grupa ta dotychczas nieliczna i taką zapewne pozostanie.

Widzimy więc, że w tych smutnych dla Galicyi czasach, gdy na czele rządu stoi stronnictwo austryackie, silne organizacyą, kapitałem i władzą, które nie lekceważy wprawdzie interesów większości, ale uwzględnia je o tyle tylko, o ile to dogodnem jest dla niego, niema śród większości ani jednego stronnictwa, któreby posiadało lub posiadać nawet mogło wpływ w rządzie. Jedne z grup są szkodliwe swoją niejasną wichrowatością, inne nie mają racyi bytu, a najlepsze i najuczciwsze nie mają na czele człowieka z wyrobieniem politycznem, taktem towarzyskim i publicznym a wybitnemi zdolnościami politycznemi. Są tam ludzie bardzo zdolni — ale bez odpowiedniej popularności, równości i wyrobionego charakteru: tacy mogą być dobrą sprężyną dla kółka, ale dla kierowania stronnictwem nie posiadają kwalifikacyj. Dopóki taki człowiek nie znajdzie się — stronnictwo ludowe nie rozrośnie się i wpływu nie zdobędzie.

Do rządów ma wielką ochotę grupa demokratów dawnego pokroju, ale jest ona tak giętką w wielu wypadkach, że nie wiadomo, w jaką stronę pochylić się może, i dlatego stańczycy od niej odsuwają się, a do t. zw. „ludowców“ ona przylgnąć się nie może. I tak wisi sobie — między hofratami wiedeńskiego rządu a grupą ludową w Galicyi, skazana na wymarcie.

Cho.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Grosz administracyjny.

Nie możemy inaczej nazwać, tylko wielkiem szczęściem, tego wieczznego zadowolenia, z jakiem niektóre pisma przyjmują wszelkie czyny instytucyj i jednostek, będących przedmiotem ich gorącej i naturalnie bezinteresownej miłości. Nieraz zdaje się, że one doznają co najmniej milczącej boleści, gdy ich oblubieńcy dopuszczą się jakiegoś postępku, którego najróżowszy optymizm musi smutnie westchnąć. Gdzie tam! I wtedy nawet umieją się zdobyć na słowa uśmiechniętej czułości. Obserwowaliśmy ten objaw w zeszłym tygodniu, przeglądając sądy prasy o przywróconym przez Towarzystwo kred. ziemskie „groszu administracyjnym.“ Czytelnik, którego los nie ukarał posiadaniem „większej własności ziemskiej,“ nie wie o tej drobince. Jest to maleńki podateczek, wynoszący półrocznie zaledwie rubelka i 80 kopiejeczek od tysiąca rubli pożyczki, ale dający w sumie 250,000 rubli rocznie ze 140 milionów rubli pożyczek. Skromna ta ofiareczka, która — jak zapewnia jedno z pism wesoło uśmiechniętych — „została uchwalona w zadośćuczynieniu *żądaniom stowarzyszonych*, wyrażonym we wnioskach tegorocznych wyborów,“ a której „zniesienie przed kilku laty *stowarzyszeni powitali z radością*,“ ma posłużyć do podwyższenia pensyi radcom o 25%. Pomimo że stowarzyszeni sami tego ciężaru dla siebie „żądali“ — szkoda, że ani nazwisk, ani miejsca zamieszkania tych bohaterów nikt nie pamięta — wspomniany herold dziennikarski przypuszcza, że ów grosik administracyjny może być dla nich „przykrym,“ więc ich pociesza, iż będzie on pobierany tylko przez dwa roczki, a potem znowu będzie usunięty ku wielkiej „radości“ tych, którzy go się gwałtownie domagali. Jest to coś w rodzaju tej przyjemności, jaką Srul z *Fliegende Blatter* zaproponował synowi, radząc mu, ażeby w chłodnej izbie wysunął nogę z pod pierzyny, a gdy mu zmarznie, wciągnął ją nazad. Tylko że mały Icek mógł sobie zrobić tę „przyjemność“ bezpłatnie, a stowarzyszeni muszą płacić po 1 rb. 80 kop. od tysiąca. Ale trudno! Skoro tak postanowiły „władze naczelne Towarzystwa,“ a zwłaszcza skoro tego „żądali“ stowarzyszeni, trzeba się poddać. Niech wszakże będzie wolno nam, bezstronnym widzom tej komedyi, zadać kilka pytań:

1) Jeżeli pensye radców należy podnieść o 25%, to czy również dochody stowarzyszonych wzrosły, skoro tak śmiało sięgnięto do ich kieszeni?

2) Jeżeli dochody te nie podwyższyły się lub nawet zmalały, to kto im wyrówna tę różnicę? Czyżby Towarzystwo dobroczynności?

3) Jeżeli radcowie nie mogą się utrzymać za 200 rs. miesięcznie i ponoszą „duże straty,“ to dlaczego przed wyborami tak objeżdżają, obcałowują, okadzają grzecznościami i błagają sąsiadów, ażeby im dali swe głosy?

Są to zagadki dla nas całkiem niepojęte. Dałyby się one wyjaśnić tylko tem przypuszczeniem, że do „władz“ Towarzystwa wciska się coraz większa liczba bankrutów, którzy chcą łatać swoje interesy skórą ściąganą ze stowarzyszonych i jeszcze w nich wmawiają, że „czynią zadość ich życzeniom.“ Według ustawy Towarzystwa radcą może być ten tylko, kto posiada najmniej 3,000 rb. długów; czyby nie należało zmienić odpowiedniego paragrafu i orzec, że radcą może być ten tylko, kto posiada więcej długu, niż majątku? Wtedy zrozumielibyśmy podwyżkę pensyi o 25%. Bo rzeczywiście, jeżeli z tego źródła trzeba utrzymać godnie całą rodzinę i jeszcze dać coś wierzycielom, to dotychczasowa płaca 7 rb. dziennie nie wystarcza. A więc cierpliwe owieczki pozwólcie ostrzydz sobie trochę wełny, ażeby waszym pasterzom było cieplej. Ofiareczka maleńka: rubelek z kopiejeczkami od tysiąca!

Kuratorya trzeźwości.

Warsz. Dziennik ogłosił „Okólnik warszawskiego generał-gubernatora do gubernatorów kraju Przywiślińskiego,“ polecający im tworzenie komitetów gubernialnych i powiatowych „dla rozpowszechniania śród ludu zdrowych pojęć o skutkach nadmiernego używania napojów spirytusowych i wyszukaniu środków, dających mu możność przepędzenia wolnego czasu po za granicami szynku.“ Jak wiadomo, komitety to, złożone z osób, pozostających na służbie państwowej, przybierają sobie do pomocy osoby prywatne w charakterze „członków czynnych.“ Otóż w niektórych miastach już zorganizowano te ciała, które zapewne rozpoczną swą działalność. Nie będzie ona wymagała zbyt wielkiego natężenia, gdyż lud nasz nigdy nie był pijackim, a obecnie po wprowadzeniu monopolu i zniesieniu szynków tak dalece odzwyczaił się od wódki, że bardzo rzadko, przy wyjątkowych jedynie okolicznościach przypomina sobie o niej. Najwymowniejszym tego dowodem jest fakt, że w wielu miejscach musiano zamknąć sklepy monopolowe z braku kupujących.

Zabawa ludowa.

Powoli nasza dbałość o lud przechodzi z języka do czynu. Ale bo też przydał się temu językowi zasłużony odpoczynek! Ile on biedak już napracował się, wyrzucając ciągle słowa o „świętych obowiązkach względem ludu,“ o potrzebie zajęcia się jego ciałem i duszą, a nawet o naprawieniu dawnych błędów i zmyciu ciężkich grzechów. Był to jednak wiatr hulający po polu, był to potok, który nie obracał żadnego młyna. Nareszcie gdy policzono, że „nas“ bez owego nierachowanego dawniej dodatku jest za mało, gdy spostrzeżono, że „my“ nie mamy zdolności ani zachować w swych rękach ziemi, ani nawet wytworzyć dostatecznej sumy pożądanych pierwiastków dla kultury rodzimej, że, słowem, nie możemy własną siłą utrzymać się w walce o byt, zaczęto uruchomiać cywilizacyjną landworę, jaką jest lud. Wydajemy dla niego książki, zakładamy łaźnie, myślimy o wielu pięknych projektach, z pomiędzy których urzeczywistniliśmy na próbę jeden — zabawę ludową. Urządzono ją w parku Praskim: trwała przez dwa dni świąteczne, a składała się z tańców, widowiska teatralnego, włażenia na słupy i tym podobnych rozrywek. Opłata za wejście do ogrodu i za korzystanie z rozrywek była mała (kilka i kilkanaście kopiejek), więc sprowadziła tłum duży. Reporterzy zaznaczają, że liczył on około 30,000 osób; pragnęlibyśmy, ażeby ci nieuleczalni kłamcy na ten raz powiedzieli prawdę.

Ale czy nawet najlepsze powodzenie tej zabawy można uważać za jakiś zwrot ku większej naszej trosce o lud? Chyba jest ona tylko dowodem naszej ciężkiej winy niedbalstwa. Urządziło ją Towarzystwo dobroczynności na swój dochód, była więc czemś wyjątkowem, rodzajem pompki filantropijnej, zapuszczonej w niższe pokłady społeczne i nie powtórzy się zapewne prędzej, aż znowu przyjdzie komuś chęć użycia jej. Tymczasem masy zgromadzone w parku Praskim przekonały, że one potrzebują, łakną tanich i przystępnych rozrywek stałych, niezależnych od tego, czy Towarzystwo dobroczynności czuje brak pieniędzy, czy też nie. Niech więc pomyślny rezultat zabawy ludowej będzie dla nas wskazówką, a nie miłem tylko wspomnieniem szczęśliwego pomysłu.

Pruska swoboda prasy.

Ziemia obraca się na obłudzie, która jest jej osią i około siły, która jest jej słońcem. Nigdzie słuszność tego faktu nie ujawnia się wyraźniej, niż w Prusach. Od chwili, gdy kupiwszy bilet na granicy musisz w wagonie zapłacić jeszcze za miejsce (Platzkarte), nie pojmując zupełnie, do czego właściwie nabyłeś prawo w tym bilecie, aż do szczytów państwa „bojaźni bożej i dobrych obyczajów,“ na każdym kroku widzisz ową oś i owo słońce. Dostrzeżesz ją także w „swobodzie publicznego słowa.“ Prasa pruska ma być wolną, co znaczy, iż: ośmiu redaktorów gazet polskich siedzi obecnie w kozie, a sześć nierozstrzygniętych procesów obiecuje im tę samą „niezależność“ w bliskiej przyszłości. Jak na kolei można za niską cenę dostać bilet jazdy, ale jeśli chcesz istotnie jechać, musisz kupić drogą *platzkartę*; podobnie w prasie: może swobodnie pisać, ale jeśli nie będziesz pisał w duchu pruskim, pójdziesz do kozy. Cudowna wolność!

Jeszcze o sacharynie.

Pod takim tytułem p. Stanisław Broniewski, inżenier technolog, zamieścił w *Kuryerze Codziennym* artykuł, usiłując dowieść zdaniami lekarzy zagranicznych szkodliwość tego produktu dla zdrowia. Nie mamy żadnego powodu bronić sacharyny, ale pragniemy, ażeby ona stanęła w świetle jasnem. Otóż nie możemy pojąć, dlaczego, jeżeli ona jest istotnie tak szkodliwą, lekarze zalecają stałe używanie jej w niektórych chorobach, np. w cukrowej, w których przecie jakoby wywoływane przez nią: „czkawka, torsye, upadek apetytu i dyarya“ nie są objawami pożądanymi, a nawet obojętnymi. Produkt, który rujnuje żołądki zdrowe, powinien zabijać chore. A może nie rujnuje, a może zabija? Pytania te byłyby bardzo ciekawym przedmiotem dla pism lekarskich, gdyby one u nas nie odwracały się ze wzgardą od spraw bieżących. Niestety, nasza prasa medyczna zatonęła w „przypadkach,“ które obchodzą specyalistów i unika zagadnień, obchodzących ogół. Poczekajmy, może się zdarzą „przypadki“ zatrucia lub wyleczenia... sacharyną, wtedy dowiemy się coś o niej od kapłanów Eskulapa.

O „Życie.“

Niektórzy z czytelników naszych znali zapewne tygodnik krakowski (który miał wstęp do nas) p. t. *Życie*, redagowany przez p. L. Szczepańskiego. Był to organ sił młodych, ujawniających tę swoją młodość i oryginalność szczególnie w dziedzinie sztuki. Galicya, która żadnemu wydawnictwu literacko-artystycznemu, zwłaszcza żywszej barwy, żyć nie pozwala, skazała również *Życie* na śmierć. Zmartwychwstało ono jednak pod redakcyą p. Sewera Maciejowskiego, który je nabył, ufarbował na kolor przypominający chorągiew stańczyków, a poprzedni jego sztandar uczernił. Tak przynajmniej twierdzi p. L. Szczepański w liście otwartym, świeżo ogłoszonym. Jeśli tak jest, to doprawdy smutno, że nawet ludzie, którzy przez długi czas umieli zdala się utrzymać od stańczykowskiej bandy, pod koniec życia zaciągają się do jej szeregów lub zawierają z nią przymierze. Kiedyż ta nieszczęsna Galicya przestanie być galwanizowanym trupem, mając wszystkie warunki do pełnego życia!

Pieniądze i sumienie.

Nagłówek z działu wiadomości bieżących w pismach codziennych: „Uczciwy znalazca," już się tak ętarł u nas, że nikogo nie razi. Takim „uczciwym znalazcą" jest najczęściej stróż, dorożkarz, robotnik, wyrobnik, chłop ze wsi, służący hotelowy itd. Ogół, przeczytawszy wzmiankę o jego czynie, dziwi się i mówi. — „Patrzcie! Znalazł pieniądze i nie zatrzymał ich na własność, pomimo że była gruba suma! Uczciwy!.." Znalazca nie wnika w istotę owej pochwały, w pojęcia etyczno ogółu, który podziwia czystość jego sumienia. Gdyby potrafił wniknąć, dopatrzyłby cały ogrom obelgi. Myślano, że to złodziej, a on tymczasem znalazłszy, cudzą sakwę, zwraca ją właścicielowi! Ogół tak haniebnie piętnuje go swoją opinią *pochlebną*, nie zdaje sprawy ze swego mniemania; chociaż nieświadomie, wpływa ono jednak logicznie z warunków bytu. Stróż, dorożkarz, robotnik, wyrobnik, chłop ze wsi, posługacz hotelowy, mają takie liche zarobki i takie ciężkie obowiązki rodzinne, że... powinni być złodziejami: przywłaszczyć sobie pieniądze znalezione. Każdy więc z nich jest w gruncie rzeczy złodziejem, tylko że nie ma sposobności otrzymać na niego patentu. Jeżeli zaś znajdzie się taki, co pieniądze cudze zwróci, to już wyjątkowo uczciwy. Tak ogół mniema i pryska błotem obelgi na „uczciwego znalazcę," a zarazem na tę całą warstwę pracowników, której on jest przedstawicielem.

Opinia publiczna swojem pojęciem etycznem lub nawet cichem przypuszczeniem, piętnuje nie tylko te warstwy ubogie, mało lub wcale nie oświecone, lecz także i inne, cieszące się przywilejami bytu materyalnego. I tutaj nieświadomie działa wpływ logiki, urosłej z faktów. Ten okradł bank i umknął do Ameryki; pomimo że miał ogromną pensyę, wystarczającą na potrzeby niezbędne, i na zbytki. Tamten przywłaszczył sobie pieniądze sierot, ów roztrwonił fundusze użyteczności publicznej, inny zarządzał darem dobroczynnym zbyt kosztownie i nie potrafił odróżnić potrzeb osobistych od rubryk wydatków danej fundacyi. Wreszcie jeszcze inny dużo zarobił przy budowie dróg, mostów itp., tj. skrzywdził ludność danej okolicy. Fakty takie istotnie mnożą się z dniem każdym, przepełniają stoły sądów i szpalt pism. Nic tedy dziwnego, że i nieufność ogółu rośnie, że jednocześnie rozwija się chorobliwa drażliwość ludzi prawych, we wszelkich, chociażby najdrobniejszych sprawach pieniężnych.

Okropne jest położenie tych, którym powierzono fundusze publiczne. Samiśmy byliśmy nieraz świadkami, jak ich sumienie rozpinano i badano pod drabnowidzem, pomimo że najmniejszej skazy nie miało. Nieraz na posiedzeniach, gdzie odczytywano sprawozdania z obrotów i wydatków, dotyczących takich sum, widzieliśmy wyraz nieufności na twarzach wielu słuchaczów. Ujawniała się ona czasem w natarczywem żądaniu drobiazgowego wyświetlenia pozycyj dość jasnych i motywowania najdrobniejszych wydatków.

W naszych warunkach i formach bytu, gdzie wiele dziedzin życia opartych jest na ofiarności ogółu, pieniądze publiczne odgrywają niesłychanie ważną rolę. To też dziwić się temu nie można, że społeczeństwo, oddawszy je pod opiekę ludzi, których obdarza zaufaniem, wymaga jednocześnie sprawozdań. Jest to obowiązek owych stróżów mienia społecznego, którzy sami upominaliby się o taką jawność, gdyby jej nie wymagano. Ale ogół, jak rzekliśmy, nie zawsze na tem poprzestaje; wymaga on nieraz kontroli w formie, wywołującej ból i oburzenie u ludzi nieskazitelnie prawych. To też wielu z nich usuwa się od narzucanych im obowiązków i broni się rozumowaniem bardzo słusznem: „Tysiąc obdarzy mię bezwzględnem zaufaniem, pięciuset będzie ukrywało w sobie podejrzenie, stu wypowie je prywatnie śród dobrych znajomych, pięćdziesięciu głośno wyrazi swoją nieufność. Ci najmniejsi liczebnie siewcy niewiary i obelgi znajdą największy posłuch śród tłumów, stojących zdala od instytucyi, czy też funduszu publicznego i niemających najmniejszego pojęcia o nieskazitelności danej jednostki."

Nieufności tej, niestety, wyplenić nie można, bo ją samo życie wytworzyło; ale usuwanie się od niezmiernie ważnych obowiązków tych dzielnych i prawych ludzi, których większość obdarza bezwzględnem zaufaniem, którzy dzięki właśnie swej kryształowej duszy i niezłomnemu charakterowi mogą uczynność jednostek wyzyskać dla dobra ogółu — jest krzywdą wielką dla społeczeństwa. Więc kto się nie cofa przed tym obowiązkiem, kto z siebie czyni istotną ofiarę, nie zważając na pociski i pryskanie błota, kto przezwycięży ból moralny, stawianie czystego sumienia pod pręgierzem opinii brudnej i zniesie obelgę od garstki lekkomyślnych, ten się stanie prawdziwym bohaterem i zarazem najdzielniejszym obywatelem społeczeństwa. Takich nam trzeba najwięcej.

Za kilka tygodni nasze instytucye publiczne przebudzą się do życia po uśpieniu letniem. Przebudzą się zarazem te wszystkie wady społeczne, które mrożą zapał i dobre chęci ludzi uczciwych i skorych do poświęcenia swych sił na rzecz dobra ogólnego. Niech więc każdy, komu dobro to leży na sercu, weźmie pod uwagę rozmyślania powyższe. *Z. P.*

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Szymon Askenazy: *Studya historyczno-krytyczne*, Kraków, 1897. — Władysław Smoleński: *Szkoły historyczne w Polsce*, Warszawa, 1898.

II.

Szkopuł, o który się tak uporczywie rozbijają najmisterniej i najstaranniej zbudowane historyozoficzne syntezy dziejopisarzy tegoczesnych, wyrasta prawdopodobnie z organicznej jakiejś ułomności naszego umysłu, należy do najbardziej zastarzałych, chronicznych skażeń ustroju naszego poznawczego, skoro z chybionych na tem polu usiłowań tworzą się całe szeregi faktów — nietylko wszerz przestrzeni u ludów rozmaitych, ale też i wzdłuż czasu — w jednem i tem samem społeczeństwie. U nas np. literatura historyczna, rozważana z tego punktu, jest jakby jednym, nieprzerwanie od samego początku ciągnącym się łańcuchem niepowodzeń i upadków. Dążność subjektywno-celowa, którą, jak widzieliśmy, doktrynę Taine'a wystawiła na szwank i rozbicie, a najskryciej podszywała się pod Rankego, aforyzm „widzieć, jak istotnie było," dążność ta zaraźliwie napastowała i nękała wszelkie bez wyjątku szkoły dziejopisarskie w Polsce. Tak przynajmniej zdaje się wypadać z rozprawy Władysława Smoleńskiego o głównych u nas kierunkach poglądów na przeszłość.

Zgodnie ze sławnem orzeczeniem Comte'a, że umiejętność wszelka, w kolejach swego rozwoju, ulega trzem, bezpośrednio po sobie następującym prądom, czyli usposobieniom duchowym (teologicznemu, metafizycznemu i pozytywnemu), historyozofia nasza hołdować najpierw zaczęła tendencyjności teologicznej. „Annaliści, pamiętnikarze i publicyści z w. XVIII — pisze Smoleński — ile razy usiłują tłomaczyć fakt historyczny lub chaos wypadków nanizać na nić porządku moralnego, uciekają się niemal zawsze do krytycyzmu teologicznego.." Przytoczeń dowodowych autor nie skąpi. Dla objaśnienia np. powszechnego w owych czasach nierządu, od którego, zdawałoby się, Polska oddawna w przepaść runąć by powinna, utrzymywano i najświęciej wierzono, wraz z niejakim Dębińskim, mówcą sejmowym, iż „prowidencya protekcyi boskiej to sprawuje, że ustawicznie się walimy, a przecie stoimy; ustawicznie gaśniemy, a przecie, jako słońca jakie, wschodząc po zachodzie, jaśniejemy; ustawicznie giniemy, a przecie żyjemy..." Zjawić się wprawdzie mogło przypuszczenie, że tracąc tak zdrowie po kropelce, ziemię po piędzi, fortunę po szelągu, dojdzie się wcześniej czy później do miliardowego bankructwa, ale myśl podobną zawczasu zażegnywano filozofią Bossuetowską, którą ks. jezuita Szymon Majdrowicz tak wykładał. „Zaszczepił rządca świata w stworzeniach swoich świadomość, że jak przez niego wyprowadzone zostały z nicości, tak jego również ręką wszechmocną zepchnięte być mogą w nikczemność wiekuistą" — co oznaczało, że broić Polak może, ile chce, gdyż czy się w czas opamięta, czy się nie opamięta wcale, zginie dopiero wtedy, kiedy Rządca świata wyda rozkaz odpowiedni. Po nad stanowisko Majchrowiczów dziejopisarze nasi nieprędko się wznieśli. Doktryna „prowidencyi" wszechwładnie panuje niemal aż do końca wieku XVIII, gdyż najrozumniejszy i najzacniejszy z publicystów naszych przedrozbiorowych, Konarski, we wspaniałej swej pracy „O skutecznym rad sposobie," zamknął się z historycznemi swemi uwagami w obrębie obrad sejmowych, do rozleglejszych zaś uogólnień nie doszedł.

Rozruszały się nieco u nas myśli dopiero wobec gróźb i niebezpieczeństw ponownego rozbioru Polski, głównie pod wpływem rozpraw sejmu czteroletniego i agitacyi stronnictwa reformy. Zmieniła się wówczas w dziejopisarstwie naszem barwa tendencyjności — lecz tylko barwa. Z teologicznej stała się metafizyczną, z opatrznościowej — moralizatorską. Cyceronskie godło „historya jest mistrzynią życia" pompatycznie wkroczyło z Naruszewiczem na widownię dociekań i uogólnień dziejopisarskich, ażeby z widowni tej ustąpić dopiero... w wieku może XX. To, co Naruszewicz pisał w przedmowie do swej „Historyi narodu polskiego," że nauka dziejów, „jako iściec i sędzia dzieł starożytnych," powinna ludzi nauczać i prostować popełnione pomyłki, uchybione pory, zaniedbane korzyści; złą ekonomikę skarbu wytykać, niezdolność urzędników, swawolę wolności, ucisk poddaństwa karcić" — po dziśdzień uchodzi w oczach naszych za niezbędny, właściwy, godziwy i uprawniony cel poszukiwań i prac historycznych. Wymagano od dziejopisa — powiada Smoleński — żeby chłoszcząc występki, okazywał tryumf dobrego nad zbrodnią, żądano, żeby nauka dziejów kształciła obyczaje, zachęcała do cnoty... A dzisiaj, po latach stu doświadczeń i pracy, czyliż czego innego żąda się od Szujskich, Kalinków lub Korzonów? Przy naturalnym pochopie ludzi do mierzenia przeszłości skalą poglądów subjektywnych — powiada dalej Smoleński — pod wpływem zresztą wzorów francuskich, naginających dzieje ludów do form polityki bieżącej, nie dziw, że reformatorowie sejmu czteroletniego zapatrywali się na zjawiska historyczne przez szkła własnych ideałów, że do doktryny swojej usiłowali naginać wszystko; poczucie potrzeby rządu silne-

go, stałego, dziedzicznego, „stało się dla nich miarą krytyczną, wynalezieniem owego stanowiska moralnego, którego wymagał Naruszewicz ku ocenie faktów i ludzi..." A za dni naszych, azaliż inne zą nasze ideały, kryterya, miary historyozoficzne?.. „Tak samo, jak niegdyś szkoła Naruszewiczowska — zapewnia Smoleński — poczytuje też i dzisiejsza szkoła krakowska historyę za mistrzynię życia, szuka w niej morałów praktycznych; mierzy przeszłość skalą potrzeb chwili bieżącej, ocenia ją ze stanowiska kultu; jak przed wiekiem służy historya szkole krakowskiej za przewodnika w polityce — za trybunał, z którego wyżyn rzuca na przeszłość klątwy i potępienia..."

Cóż teraz począć? Gdzie szukać światła? Kogo pytać o prawdę?

Smoleński, który historyę stanowczo zalicza do umiejętności ścisłych, mniema, że należy otwarcie i ostatecznie zerwać z narzucaniem historyi jakichkolwiek widoków utylitarnych, moralizatorskich, pedagogicznych, polityćznych. Nauka — powiada — nie ma innego zadania nad zaznaczanie i objaśnianie zjawisk. Dla botanika obojętną jest rzeczą, czy odkryta przez niego własność danej rośliny znajdzie zastosowanie w medycynie lub kuchni; nie należy również do historyka wyciąganie z przeszłości wskazówek pożytku lub niepożytku powszedniego. Botanik, pomijający te strony badanych przez siebie zjawisk, któreby nie obiecywały zastosowania praktycznego, doszedłby do wniosków ułomnych; historyk, poszukujący w przeszłości recept leczniczych lub podniecających, nie zajmuje się nauką dziejów, tylko „znachorstwem" dziejowem. Wprawdzie, w zawodzie historyka, który namiętnościom podlega, wyznaje zasady i żywi sympatye, objektywizm bezwzględny do osiągnięcia jest trudny; pożądany jest przecież w stopniu możliwie najwyższym. Własnowolnie pozbywa się tego stanowiska polityk-dziejopis, wyzyskujący materyał historyczny ku usłudze chwili bieżącej, jak to czynili Naruszewicz i jego epigonowie, Lelewel i jego naśladowcy, Hoffman, Dzieduszycki, Walewski, a w czasach ostatnich Szujski, Kalinka, Bobrzyński, poczytujący przeszłość za zbiornik eksperymentów, które obrócić należy na pożytek narodu. Dla otrzymania względnego objektywizmu wypada przedewszystkiem zerwać z Cyceronowską definicyą historyi i uznać, że nauka dziejów, jak każda inna, nie ma innego zadania nad konstatowanie i badanie natury zjawisk w celu odkrycia praw rządzących ludzkością...

Wywód Smoleńskiego zupełnie słuszny, ale w gruncie nic innego teoretycznie nie oznajmia i praktycznie nie zapowiada nad to, co już słyszeliśmy od Rankego i Taine'a. Być w dziejopisarstwie zupełnie objektywnym, wychodzi na to samo, co „widzieć, jak rzeczywiście było" (według Rankego), a owo porównanie historyi do botaniki dorównywa najzupełniej zoologicznemu zestawieniu Taine'a („istnieją gatunki ludzi, jak istnieją gatunki psów"). Obracamy się ciągle w zaklętem kole ogólników i analogij niezmiernie mglistych, bez możliwości dowiedzenia się lub przynajmniej powzięcia jakiegokolwiek wyobrażenia o tem, jak się mamy brać do rzeczy, aby ów „objektywizm" osiągnąć — wobec bezmiaru subjektywistycznych usposobień i suggestyj, osaczających zewsząd nasz umysł, naszą zdolność badawczą.

Wprawdzie Smoleński wprowadza do zagadnienia pierwiastek konkretny, wyraźnie oznaczony: „prawa rządzące ludzkością." Odsłonić, na czem polegają te prawa, to tyle, co znaleźć podstawę i kryteryum w sądzeniu o wartości objektywizmu naszego w pracach historycznych, dotyczących pomniejszych grup w ludzkości (ras, narodów itd.). Lecz gdzie są te „prawa wielkie, rządzące ludzkością"? Kto je wynalazł, gdzie ich szukać? Buckle, Taine, Spencer — przed nimi Aug. Comte, zaledwie w zarysach chwiejnych, wciąż ulegających zakwestyonowaniu, a nieraz i zrujnowanych doszczętnie, usiłowali dostarczyć dziejopisarstwu pewnej ilości poglądów historyozoficznych, zasługujących mniej więcej na miano „praw." Atoli, przypuściwszy nawet, że niektóre z tych wskazań są nieposzlakowane pod względem ścisłości — to przecież wynika z samej natury zbyt rozległego i urozmaiconego zbiorowiska (ludzkość), że ścisłość owa musi na sobie nosić znamiona takiego oderwania, takiego rozcieńczenia abstrakcyjnego, że tych „praw rządzących ludzkością" niepodobna będzie zastosować do żadnego szczegółnego wypadku, do żadnego lokalnego faktu największej niekiedy wagi. Weźmy przykład. Otto w d. 30 lipca skonał Otton v. Bismarck, osobistość, z której imieniem nierozerwalnie związały się dzieje drugiej połowy wieku XIX. Jeżeli w ocenie chodzić będzie o objektywizm drobiazgowy, strawią może lat kilka na zebranie i skonfrontowanie źródeł i podań, z któremi „prawa ludzkości" nie mają najmniejszego powinowactwa, w których one nie odgrywają żadnej zgoła roli. Jeżeli zaś uwagę zwrócić wypadnie na objektywizm istotny, istotę wypadków ogarniający, wątpliwości i zawady spiętrzą się jeszcze wyżej, przybiorą charakter nieprzejednalności zasadniczej. Bo i jakże pogodzić istniejące, wykryte już „prawa ludzkości" z istotą wypadków, nawijających się dokoła życia jednostki, która sama w sposób najdonioślejszy wpływała na rozwój, koloryt i modyfikacyę owych praw, sama była w części twórcą nowych do praw wniosków?

Czem są prawa rządzące ludzkością dla grup ją składających (plemion, narodów), tem być powinny owe grupy (ich przeszłość, instytucye, obyczaje itd.) dla zjawisk mniejszych jeszcze, bieżących. Zróbmy przypuszczenie. Zgromadziło się oto na placu Wareckim od trzech do czterech tysięcy osób. Pragniemy zbadać, co się właściwie stało, co istotnie zaszło. Jeżeli jesteśmy świadkami lub uczestnikami zbiegowiska, koniecznie wznieść się musimy na pewną wysokość po nad zbiegowisko lub pobocznie umieścić się w jednym z takich punktów specyalnych, ogniskujących akcyę, skądby mniej więcej pełna całość we wrażeniach naszych złożyć się dała; inaczej nie ujrzymy nic lub ujrzymy jakiś ułomny okrawek zjawiska, wytłomaczonego błędnie. Jeżeli zaś sposobność obserwacyi nas ominęła, to i w takim jeszcze wypadku nie zdołamy uniknąć niezbędności zcśrodkowywania i uogólniania luźnych momentów zdarzenia; narzuci się nam przy zestawianiu i porównywaniu z sobą dorywczych relacyj: świadectw (dokumentów ustnych lub na piśmie), mających obecnie to samo znaczenie, co pochwycone na gorąco zeznania uczestników zbiegowiska... Więc cóż to jest owo uogólnianie, ogniskowanie, wznoszenie się po nad chaotyczny poziom miliardowych bierek rzeczywistości? Kto lub co dostarcza nam odpowiednich do operacyi środków i sposobów? Według jakich schematów odbywać mamy owo wznoszenie się, ogniskowanie, uogólnianie?

Odpowiedź na to zdaje się być prostą. Plemię, naród, społeczność nosi w swem łonie pewien zasób doświadczeń życiowych, pewną iścizną pracy i poświęcenia, pewien szereg górujących żądz lub prądów, które wobec zdarzeń pomniejszych, powszednich (zbiegowisko np. w przykładzie powyższym) alboż nie pełnią tych samych funkcyj, co „prawa rządzące ludzkością" wobec narodów i plemion? W badaniach dziejowych azaliż nie godzi się ich brać za punkt wyjścia lub strychulec oceny?

Nie, nie wolno — odpowiada Smoleński — i tem swojem veto rzuca nas napowrót na bezdroża gołosłownego „objektywizmu" lub banalnego „widzieć, jak rzeczywiście było." Nawet taki fakt olbrzymi, roztaczający strugi świateł lub pasma cieniów, jak upadek dawnego państwa polskiego, „bezzasadnie został u nas wzięty za motyw zasadniczy przy badaniu dziejów przedrozbiorowych"; „nie widzimy racyi naukowej do przyjmowania go za główny wątek przy zgłębianiu całej przeszłości..." Alboż przeszłość — dowodzi Smoleński — gromadziła jedynie materyał dla sprowadzenia upadku? Czyliż wobec wadliwej organizacyi państwowej nie rozwijała motywów innych? Upadek państwa nie doprowadził bytu naszego do kresu, lecz stworzył jedynie przełom; nie unicestwił narodu, lecz tylko zmienił warunki jego rozwoju. Jest to fakt tej samej natury, „co najazdy Tatarów i kolonizacya niemiecka w w. XIII, co zjednoczenie z koroną obszarów Litwy i Rusi w w. XIV."

Mniejsza o określenie. W każdym razie koniec państwa jest zamknięciem doraźnem — na dany wypadek — dziejów samoistności i samodzielności narodu, posiada więc doniosłość olbrzymią, z niczem innem do porównania stanąć niemogącą. Zjawisko miało swoje przyczyny bezpośrednie — a te opierały się o przyczynowość dalszą, aż do najdalszej. Jeżeli przeto nawet takie środki ostateczne nie mogą w historyi zaspokoić wymagań objektywizmu, to zachodzi pytanie: skądże się teraz weźmie nić przewodnia, na którąby się nawiązać dały wypadki grubsze, najgrubsze z przeszłości całej, tworząc w ten sposób różaniec całości jakiejkolwiek? Jak teraz zadośćuczynimy wymaganiom zarówno nauki, jak i sztuki, których istota polega na pewnem metodycznem usystematyzowanem skracaniu niezgłębionego, nieujętego oceanu powszednich przypadłości świata rzeczywistego?

J. T. Hodi.

PSYCHOLOG MAS LUDZKICH.

III.

„To plamy; powiada ktoś w niewielkiej nowelce Prusa *Pleśń świata* — nie są wcale martwym brudem, lecz zbiorem istot żyjących. Niewidzialne dla gołego oka, rodzą się one, wykonywają ruchy, których nie możemy dostrzedz, zawierają związki małżeńskie, wydają potomstwo i wreszcie giną. Co godniejsza, tworzą one jakby społeczeństwa, które tu widzisz w postaci różnobarwnych plam, uprawiają pod sobą grunta dla następnych pokoleń, rozrastają się, kolonizują niezajęte miejsca, nawet toczą między sobą walki."

Utwór Prusa staje mi na myśli, ilekroć wkrzeszam w pamięci wątki najwybitniejszych prac Zoli. Widzę tam olbrzymi twór martwy: kamienicę, hale, kopaln.., ziemię, oraz skupione dokoła nich yny i stany ludzkie. Jak ci ludzie nazywają się, czuję, że jest to rzecz obojętna. Pamiętam tylko masy; uczucia i namiętności istnieją, o ile są one wyrazem stosunków rzeczowych i namiętności klasowych. I z pośród tej masy drobiazgu ludzkiego zwłaszcza jedno ogniwo trzyma się natrętnie w obrazie — chóry zbiorowe nawskróś bezimienne już w parę dni po odczytaniu powieści, lecz z biegiem czasu nie ginące w niepamięci, przeciwnie coraz wyraźniej występujące i oddzielające się od osób, względnie bardziej zindywi-

dualizowanych. Jak w tragedyi klasycznej gromada zjawia się na scenie w charakterze doradczyni, sędziego sumienia, narzędzia-drużyny bohaterów imiennych, tak samo w utworach powieściopisarza francuskiego stanowi ona nieodzowny środek efektu artystycznego. Wyprowadzanie w starożytności chorów znajdowało się w harmonii z całym układem bytu ówczesnego, kiedy forum było jedyną widownią życia dla mężczyzny, dom zaś — schronieniem podrzędnem; gdy wreszcie nie pojedyncze stadło małżeńskie składało rodzinę, lecz pospołu żyło parę pokoleń; gdy własny pokój był nieznany, i liryka cierpień samotnych, i ukryta przed światem analiza W powieści nowożytnej, takiej, jak utwory Zoli, gromada jest wskazówką, iż autor w rozpatrywaniu dusz ludzkich porzucił perspektywę indywidualną, przestał interesować się pojedynczą jaźnią i przeniósł punkt ciężkości na podłoże zewnętrzne, słowem widzi, jak Prus, na drzewie plamy i zapomniał o jednostkach, które zwartem pożyciem je wydały. *Ziemia* zaczyna się wspaniałym obrazem zasiewów. Wszędzie na prawo i na lewo siewcy, coraz bliżsi siebie w miarę im dalsi, ciemne małe sylwetki, proste czarne cienie toną coraz bardziej w odległości; wszyscy wykonywają ten sam ruch, z ich ręki niby fala życia zatacza kręgi; równina aż do zamglonego widnokręgu drga dreszczem zapładniania. Czujemy, iż Jan, siewca, którego Zola wydzielił z pośród reszty, to tylko okaz wzięty dla przykładu. I powieść kończy się takim samym widokiem: siewcy rzucają ziarno do ziemi. Gromada stanowi ciągle akcesoryum wątku powieściowego: chóry siewców, kosarzy ludzi modlących zmieniają się jak w kalejdoskopie, ktoś imienny wychodzi z pośród nich, ażeby pozwolić wzrokowi zapuścić się w duszę towarzyszy, którzy pozostali w tłumie. Obrazy te, pomimo stylu twardego, niemelodyjnego, czynią silne wrażenie. Grad niszczy posiewy, wszyscy spieszą na pola, nawet córki pozostawiają ojca, który tylko co skonał, w pustej kuchni; podkasują spódnicę i z latarniami w ręku idą oglądać spustoszenie. Wszędzie wśród mroków nocy i mimo rzęsistej ulewy, ognie migoczą w zagonach i winnicach, psy wyją, kobiety zawodzą, ktoś wygraża niebu. I znowu czujemy, że gromady te to nie proste dodatki do działalności osób pojedynczych, że przeciwnie te ostatnie to tylko okazy, które winny nas zapoznać z psychologią tłumów, że chóry te to ogniwa pomiędzy podłożem zewnętrznem— istotnym bohaterem utworu, a osobistością imienną. *Germinal* po mistrzowsku wyprowadza na scenę takie odgłosy, ruchy, wzruszenia zbiorowe. Po wielu latach, gdy usiłuję przypomnieć sobie treść tego niepospolitego dzieła, słyszę szmery chóralne, jako zasadniczy akord melodyi powieściowej. I w innych utworach takie same gromady — pogrzeby, przekupnie w halach, spekulanci na giełdzie, zawsze jako niezbędne akcesorya, jako dusze, narzędzia, cielska podłoża rzeczowego. Niekiedy zamieniają się one na doradców lub sędziów, jak w tragedyi starożytnej. *Pot-Bouille* dostarcza w tym względzie scen klasycznych. W tyłach tej bazyliki codziennej infamii mieszczańskiej znajduje się wolna przestrzeń, na którą wychodzą okna od kuchen, kucharki i pokojówki, wychyliwszy głowy z lufcików, urządzają sąd nad państwem i wywlekają brudy. Rura to, do której nietylko wylewa się pomyje i wyrzuca śmieci, lecz także tajemnice alkowy i salonu. Tam, w tej wielopiętrowej studni, huczy od uwag po każdym skandalu. Chór starożytny zmienił oblicze swoje: zamiast udzielania wzajemnie uwag i wydawania okrzyków zgrozy na forum, zabiera głos wśród swędów kuchennych i wyziewów śmietniska. Każda epoka ma swoje rysy charakterystyczne...

Chóry te, acz bezimienne, posiadają wyraźnie zarysowaną indywidualność i wnoszą w wątek powieści gwar i życie. Występują one zanadto często, zwłaszcza w niektórych utworach, ażeby krytyka nie miała zwrócić na nich uwagi. „Zola umie—pisze ktoś—ożywiać grupy i wprowadzać w ruch masy. Prawie we wszystkich jego powieściach około głównych działaczów istnieje pewna ilość osobistości drugorzędnych, niby *servum pecus*, które idą gromadami. Tworzą one głąb sceny i występują, ażeby od czasu do czasu zabrać głos na wzór chórów antycznych. Za ich pośrednictwem postacie pierwszorzędne mieszają się z szerokiemi kołami ludzi, a ponieważ sama ludzkość jest tam unoszona przez drganie rzeczy, więc z tej całości wydobywa się wrażenie życia prawie zwierzęco-materyalnego, ale wrzącego, głębokiego, szerokiego, nieograniczonego."

Od chórów przejdźmy do bohaterów imiennych.

Powieść pospolita uwzględnia przedewszystkiem jedno tylko uczucie—miłości, walczącej, zawiedzionej, tryumfującej. Człowiek jest rozpatrywany zwykle w pewnej fazie życia, namiętność i związane z nią stany ogarnęły go całkowicie, jak pożar suchą strzechę. Skandynawczycy przez to bagno, zatęchłe od rutyny, przeprowadzili kanał ożywczej wody, zamiast jednego uczucia poddali rozbiorowi całą jaźń ludzką. Utwory Zoli mają tę wspólność z kierunkiem skandynawskim, iż tak samo ogarniają długie okresy życia; niema szczegółów, któreby były dla niego obojętne. Ale porzuciwszy perspektywę subjektywną, zrobiwszy człowieka tylko wyrazicielem pewnych dążeń masowych lub nawet zwyczajnem kółeczkiem w olbrzymim mechanizmie życia, autor francuski tem samem spojrzał na niego z punktu zgoła innego. Umysłowi naiwnemu wydaje się; iż istota ludzka jest atomem samodzielnym i niezależnym, o tyle tylko związanym z innymi, o ile instynkty fizyologiczne i potrzeba towarzyskości znaglają go do tego. Że jest ona narzędziem sił społecznych, że podłoże materyalne narzuca gromadom pewien sposób czucia i postępowania, prawda ta znika w tumanie ideologii wewnętrznej, pomysłów i stanów subjektywnych. Zola, który podłożu rzeczowemu (społecznemu i przyrodzonemu) wyznaczył taką olbrzymią rolę, jako poniekąd sprężynie sprawczej, musiał przedewszystkiem uwzględnić te strony ducha, zapomocą których ono głos zabiera w człowieku: włościanie są tem, czem ziemia im każe być, miłość musi tam ustąpić miejsca przywiązaniu do gleby, gdzieindziej ambicya panowania, opilstwo, chciwość grosza, chuć krwiożercza rej wodzą, tj. pobudki. które wypełniają nie krótką chwilę, lecz całe czyjeś życie. Człowiek dzisiejszy, w rozgardyaszu wielkiego miasta, żyje tak unoszony i popychany, warunki bytu tyle w nim budzą potrzeb i tak pochłaniają całą jaźń jego, iż namiętności fizyologiczne schodzą tam na plan drugi, tj. uwydatniają moc swoją tylko w chwilach wczasu, w swobodnych minutach pomiędzy intrygami ambicyi, walką przekonań, pracą zarobkową. Zmęczenie, troski, brak czasu, wygórowanie innych instynktów pozbawiają człowieka skłonności idealizowania stosunku z osobą innej płci; rozpowszechnienie się łatwej, sprzedażnej miłości także nie sprzyja rozkwitowi liryki wewnętrznej, która w gwarze wielkomiejskim staje się przymiotem głównie wyrostków i podlotków. Pozostaje tylko instynkt fizyologiczny, nieraz bardzo gwałtowny, ale ogołocony z promieni, melodyi, słowem poezyi — proste *accouplement*. I takie uczucie stanowi rys charakterystyczny bohaterów Zoli: zrywają oni kwiaty miłości, pozbawione barw i woni, w jakie ideologia wewnętrzna je przybrała. Powieściopisarz francuski, roztaczając w cyklu Rougon-Macquartów obraz możliwych pobudek i namiętności, poświęcił kilka utworów i tej sprężynie — od epopei sprzedażnej Wenus do przeczystej ideologii Anielki w *Marzeniu*, i zdrowej, bujnej, pogańskiej namiętności w *Omyłce abbé Moureta*. Są to rzeczy najbardziej indywidualne—z pozoru. Bo Nana w gruncie rzeczy jest kategoryą społeczną, nie zaś osobistością pojedynczą, bo Anielka została wycofaną z życia nowoczesnego, wychowana pod cieniem katedry średniowiecznej, wykarmiona samotnością; fale życia toczą się gdzieś w oddaleniu, ona zaś nie słyszy ich szelestu, stosunki zewnętrzne nie dają treści jej duszy, która ma ocknąć się dopiero pod podnietą miłości i wydać z siebie symfonię uczucia. Bo wreszcie abbé Mouret z Albiną są także odosobnieni, zamknięci w Edenie-Paradou, wszelkie akcesorya społeczne znikają, naprzeciw siebie stoją mężczyzna i kobieta, jedna wychowana w zasadach pogańskich, drugi chwilowo zapomina, kim jest, ogród sam oddycha miłością. Zwierzęta nawoływają siebie nawzajem, ptactwo wyśpiewuje pieśni tęsknoty, drzewa szemrzą w dreszczu erotyczuym, wszystkie cząstki życia, nawet atomy materyi, kochają się i obcują, wszystko skłania dwoje ludzi do zlania jestestw swoich w uścisku, jakiego nie zna życie wielkomiejskie, do otoczenia spazmów poezyą, którą gwar życiowy wyklął, a gdy połączyli się, wszelkie stworzenie, i zwierzęta, i rośliny uciszyły się niewymownie, park zaś przyklaskiwał zapamiętale.

Kartki te, pełne zdrowej miłości, barw tęczy, melodyi półsłówków i szeptów, tak odskakują od zwierzęcego *accouplement*, powtarzającego się co stronica niemal w *Curée*, *Pot Bouille*, *Germinalu*, iż mimowoli zapytujemy, się, czy to pisał ten sam autor. Tak ten sam! Tylko, że ludzie są tam wolni od napiętego stanu nerwów w walce o chleb lub godności, że mają czas kochać się i wmyśleć się w siebie i wczuć, przedewszystkiem zaś nie są zatruci uściskami nierządnicy, ani sztuczne życie nie wykoszlawiło ich harmonii wewnętrznej, nie wyżarło zapału i świeżości uczuć. Ale u Zoli nawet i tam, gdzie podłoże społeczne, uproszczone, przestało w sposób złożony oddziaływać na istotę ludzką i jaźń jej szarpać na strzępy, i tam potok stanów indywidualnych odznacza się niezwykłą prostotą. Braknie mu umiejętności wejrzenia w głąb duszy, tak samo jak wtedy, gdy z Prusem przypatrujemy się plamom na drzewie — widzimy je, ale pojedynczych jednostek nie dostrzegamy. I Zola patrzy na człowieka z pewnego punktu, stany ducha zostają uproszczone, osłonki ideologiczne, które przecież istnieją, analiza i ważenie czynów, które są przecież rzeczywistością, wszystko to odpadło. Jaźń w jego utworach uboższona, złożona z najprostszych stanów! Człowiek u Zoli bywa aż nazbyt często przedstawiany właśnie ze stanowiska tylko „natury." Fizyologia, nie zaś psychologia odgrywają główną rolę.

K. R. Żywicki.

POEZYE

Z CYKLU „DRZEWA."

DRZEWA.

Oto kolumn olbrzymich tłum ziemię ocienia.
Stoją posągi świata — nieśmiertelne drzewa.
Rzeźbił je wielki snycerz w godzinie natchnienia,
A dziś każde mu za to hymny chwały śpiewa.

Mijają wieki, w proch się sypią pokolenia,
Wre huragan dziejowy, kipi klęsk ulewa —
A one wrosły w samo serce przyrodzenia,
I każda chwila w nowe życie je odziewa.

A myśl ludzka ogarnia te sztuki ogromy
I ciągle bije pokłon czołem u ołtarza,
A potem w pniu zmurszałym, w liściu, co szeleści,

W korzeniach, co krwią tętnią, szuka wielkiej [treści, —
Pramacierzy wszechrzeczy, oku niewidomej,
Z której wielki artysta kształt widzialny stwarza.

JABŁOŃ.

Stoi w moim ogrodzie jabłoń rosochata.
Co rok mróz ją porywa w swe białe ramiona,
A potem z pieszczotami spływa maj, a ona
Gra wonią i różowe kwiaty w włosy wplata.

Aż raz skąpana w deszczu wichura skrzydlata
Strzaskała jej pień czarny. Myślałem, że skona,
Lecz nie padła — i cała ku ziemi schylona
Tak skraśniała owocem, jak żadnego lata.

A ja się na to drzewo jasnem okiem patrzę,
Bo znam dusze, dla których rozkosz od cierpienia
I majowe uśmiechy są od szronów rzadsze,

Co, jak pień, zdruzgotane i krwawe, jak wyłom,
Urągają potęgą płodu — i mogiłom
I łzom — i huraganom—i paszczy zniszczenia.

LIPA.

Przed samem mojem oknem szklanem
Lipa mi szumi liści łanem
I spija słońca blaski płowe,
Wsłuchana w cichą chmur rozmowę.

Wiatr skrzydłem swojem potarganem
Owiewa piersi jej na l ranem,
A zmrokiem kładzie mgły liliowe
Na rozmarzoną, senną głowę.

Ja patrzę się—i śnię, że tonę
Skąpany w liście jej zielone,
Że tchnący pełnią pożądania

Jej czar mnie tuli, pieści, wchłania—
I, niby ludzie szałem zdjęci,
Ginę bez czucia i pamięci...

Władysław Sterling.

W DALI.

Lipno. Z okolic Lipna donoszą o pojawieniu się szkodnika leśnego, zwanego *mniszką*, w lasach dóbr Osówek. „Administracya leśna — mówią *Echa płockie i łomżyńskie* — słabemi siłami przedsiębierze różne znane środki dla wytępienia tej gąsienicy, ale wątpliwą jest rzeczą, czy sama bez pomocy da radę. Byłoby wielce pożądanem, aby władze w podobnych wypadkach zarządziły obowiązkowe tępienie szkodliwego owadu, który stać się może groźną plagą i zadać olbrzymie klęski naszym lasom." Fachowi leśnicy starego autoramentu, odczytując tę wiadomość, ironicznie się uśmiechają. Słyszeliśmy kilku z nich, którzy twierdzili, że śpiąca to tam chyba dosyć musiała być administracya, kiedy się mniszce tak rozplenić pozwoliła. Zły to już ratunek, kiedy płomień dach ogarnie, a przecież mniszka należy do tych nieprzyjaciół lasów, których się niszczy natychmiast, bez odwłoki, w zarodku samym.

Kielce. W całej prawie części gub. Kieleckiej, w której ubóstwo gleby słabo opłaca pracę rolnika, samodzielnie zaczyna się rozwijać przemysł domowy między ludnością wiejską, i gdyby jakiekolwiek wskazania techniczne, gdyby ułatwienie kapitału na warunkach przystępnych, pożądany ten objaw rozrósłby się niewątpliwie i spotężniał. Przemysł tkacki, jak wiadomo, pierwsze tutaj zajmuje miejsce, a jakkolwiek podana przez miejscowy organ liczba 20,000 kobiet, mających się jakoby w samym powiecie Kieleckim zajmować tkactwem na pierwotnej konstrukcyi warsztacie, wydaje nam się cokolprzesadzoną, niemniej duży ruch wytworów pod postacią materyałów na ubranie, chodników i wyrobów lnianych kieleckich notują dzisiaj w różnych okolicach kraju. Potrzeba podręczników farbiarstwa, przystępnie ułożonych, wiadomości o poprawnym warsztacie tkackim wraz z cennikiem tych maszyn, a nadewszystko kasa pożyczkowa z dłuższym kredytem dla ludności zajmującej się przemysłem, nagląco potrzebną jest w gub. Kieleckiej. Z innych gałęzi przemysłu wiejskiego w tej stronie kraju znane są: fabrykacja naczyń i narzędzi z drzewa w okolicach Suchedniowa, Bodzentyna i Słupi, mająca znaczne widoki przy cenach drzewa niższych, niż w innych stronach kraju. Oprócz tego przemysł garncarski, który pod względem smaku wyrobów pozostawia wiele do życzenia, ale materyał surowy, z którego czerpie ta gałąź swojskiego przemysłu, wart jest niezaprzeczenie nakładów i rozwoju na szerszą skalę.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Prawit. Wiestnik ogłasza najpoddanniejszy raport Oberprokuratora Najświętszego Synodu w sprawie greko-unitów, który Najjaśniejszy Pan raczył zatwierdzić i własnoręcznie nakreślić słowa następujące:

„Mam nadzieję, że przepisy te odpowiedzą wszystkim słusznym wymaganiom i odwrócą wszelkie niepokoje, rozsiewane wśród ludu przez wrogów Rosyi i prawosławia. Polacy niechaj bez przeszkody czczą Pana Boga według obrządku łacińskiego, lud zaś rosyjski od wieków był i będzie prawosławnym i razem z Cesarzem swym i Cesarzową ponad wszystko czci i kocha ojczysty kościół prawosławny."

Ukaz zatwierdzony brzmi:

1) B. greko-unici, przyłączeni do cerkwi prawosławnej w r. 1875, zaliczeni być mają do prawosławnych.

2) Dzieci urodzone z rodziców b. greko-unitów, które nawet były ochrzczone w kościele rzymsko-katolickim przed r. 1875 zaliczone być mają do cerkwi prawosławnej.

3) Dzieci rodziców rzymsko-katolików ochrzczone w cerkwiach greko-unickich przed r. 1875 można nie zaliczać do b. greko-unitów.

4) Dzieci urodzone przed r. 1875 z małżonków mieszanych, tj. unitów i katolików, należy zaliczyć synów do wyznania ojca, córki do wyznania matki.

5) Osoby podające prośby o wyłączenie ich z cerkwi prawosławnej mają dołączać metryki albo też kopie z aktów stanu cywilnego, wyjaśniające ich urodziny lub chrzest lub w razie zażądania akty urodzin i ślubów rodziców. Również dołączane być mogą świadectwa parafii, że w aktach stanu cywilnego lub cerkiewnych podobne akty sporządzane nie były.

6) Osoby, które nie mogą przedstawić wymienionych powyżej dowodów, mogą prosić o wyjaśnienie wątpliwości przy pomocy śledztwa, do jakiego kościoła należeli sami lub ich rodzice. Tą samą drogą ma być wyjaśnione wyznanie dzieci nieślubnych, których nie można złożyć metryk osobistych jak i ich matek.

Uwaga. Przepis ten nie stosuje się do osób, które dotąd nie zostały ochrzczone.

7) W razie braku metryk urodzeń i chrztu zaliczenie do wyznania może być udowodnione piśmiennymi dokumentami lub też zeznaniem świadków, iż dana osoba przyjmowała Sakramenty i przestrzegała obrzędy kościołów: greko-unickiego lub katolickiego.

8) Petecye zbiorowe mieszkańców, całych wiosek lub danej grupy, niespokrewnionej pomiędzy sobą, oznaczenie ich wyznanie, wcale nie będą przyjmowane.

9) Wszelkie sprawy wyznaniowe b. greko-unitów pozostają pod zarządem dyecezyi chełmsko-warszawskiej, która rozpatrywać będzie podawane prośby.

10) Od wyroków dyecezyi można podawać apelacye do Świętobliwego Synodu, lecz nie później, jak w czasie dwumiesięcznym od daty ogłoszenia pierwszej decyzyi.

KRONIKA.

Podatek szpitalny. *Przegląd farmaceutyczny* zamieścił następujące uwagi, godne zaznaczenia: „Podatek szpitalny, obciążający najuboższą ludność Warszawy, dochodzi pokaźnej sumy 200,000 rubli. Zdawaćby się mogło, że zarząd szpitali wobec stałego źródła dochodów starać się będzie o polepszenie warunków szpitalnych, że każdy chory znajdzie odpowiednie pomieszczenie w myśl obowiązujących przepisów, a Ukazem Cesarskim zatwierdzonych. Tymczasem niejednokrotnie zdarzały się wypadki nieprzyjęcia do szpitali tych, którzy okazali kwit z opłaconego podatku, co było następnie powodem dochodzenia sądowego o odszkodowanie. Rzecz prosta, że wyrok przechylał się na stronę poszkodowanego chorego, wskutek czego zarząd szpitalów zmuszony był wypłacić sumę, wielokrotnie przenoszącą opłatę szpitalną. Te wypadki, wcale niewyjątkowe, mogą być ciekawym przyczynkiem do gospodarki szpitalnej w Warszawie, gdyż tłomaczenie się zarządu brakiem łóżek wobec podatku obowiązkowego jest bezpodstawne i uwzględnione być nie powinno. Obecnie przybywa nowy przyczynek, świadczący o dążeniu do niczem niewytłomaczonej oszczędności. Do niedawna istniał projekt, gorąco przyjęty przez radę miejską dobroczynności publicznej, oddania wszystkich aptek szpitalnych pod zarząd zawodowców-farmaceutów, jak to już od bardzo dawna praktykuje się w szpitalach: św. Łazarza, Dzieciątka Jezus, Starozakonnych i Ujazdowskim (wojskowym). Jednakże projekt ten, ze wszech miar godny uwagi, upadł."

Utrudnienie. Wyjeżdżający do państwa austryackiego uskarżają się za pośrednictwem *Gaz. Polsk.* na trudności, doznawane w konsulacie tutejszym przy wizowaniu paszportów. Czynności wizowania dopełniał dotychczas sekretarz konsulatu odręcznie; obecnie zaszła pod tym względem zmiana. paszporty wizuje konsul osobiście, ale najmniej 15 razem. Z tego powodu po kilka godzin czekać trzeba, co osobom, zmuszonym nieraz do nagłego wyjazdu, znaczną w czasie różnicę stanowi. A przecież za wizowanie pobierana jest wysoka opłata, bo aż do 3 rubli dochodząca. Za taki haracz możnaby było uprościć czynności.

Szkoły. Ministeryum oświaty poruszyło sprawę wydania przepisów, według których uczniowie, kończący szkoły realne, mają zdawać egzaminy dodatkowe z języków starożytnych dla pozyskania świadectwa dojrzałości. Dotąd egzaminy takie były wyjątkowe, na przyszłość zaś mają być zasadą stałą.

— Dzienniki donoszą, iż sprawę otwarcia przy warszawskiej szkole realnej oddziału równoległego klasy VII rozstrzygnięto pomyślnie. Okazało się, że nietylko dla kandydatów prywatnych szkół realnych pp. Górskiego i Trejdosiewicza, którzy ukończyli 6 klas, niema pomieszczenia do 7-ej rządowej, ale nawet z pomiędzy promowanych uczniów 6-ej klasy szkoły realnej dziesięciu jest nad oznaczony komplet dotychczasowy. Z tego więc powodu p. kurator okręgu naukowego przychylił się do przedstawienia dyrektora szkoły, p. Krywaksina.

— Dla kandydatów do niższej szkoły leśnej warszawskiej otwiera się w klasie pierwszej tylko 10 wakansów. Z tej liczby pięciu uczniów przyjętych być może na koszt skarbu. Od kandydatów wymagane jest świadectwo z ukończenia najmniej 2 klas szkoły miejskiej, egzaminy zaś odbywać się będą d. 13 września.

— Jak donoszą *Peterb. Wied.*, ministeryum skarbu zakłada w różnych punktach państwa sześć szkół wzorowych z wykładem rzemiosł wiejskich. Na każdą przyznano po 15,000 rubli.

— Do instytutu górniczego podało prośby 440 kandydatów na 80 miejsc wolnych.

— Dotychczas 700 kandydatów złożyło prośby o przyjęcie do politechniki warszawskiej.

Pożary. Miasteczko Mir w gub. Mińskiej zniszczył pożar. Spaliło się 400 domów. Już nie po raz pierwszy to miasto nawiedza klęska ogniowa. Wogóle wszystkie miasteczka litewskie są tak bliskie i do tego stopnia pozbawione organizacyi jakiego takiego ratunku, że się stają prawie co rok pastwą płomieni i obarczają społeczeństwo setkami nędzarzy-pogorzelców.

— W Kazaniu pożar, trwający noc całą, zniszczył około 300 budynków. Z Baku telegrafują, iż w kopalniach nafty „Wiszan" kilkodniowy pożar poczynił olbrzymie spustoszenia. Ofiarą pożaru padło 14 ludzi.

— W warsztatach wagonów i tartaku w Matyszcach na kolei Jarosławskiej wybuchł pożar i zrządził ogromne spustoszenia. Zniszczył cztery wielkie warsztaty wagonów i składy drzewa. Około 1,000 robotników pozostało bez zajęcia.

— W Niższym Nowogrodzie podczas pożaru sześciopiętrowego gmachu młyna parowego zginęło 4 robotników.

Przemysł i handel. Komisya specyalna opracowała projekt przymusowego ubezpieczenia nierogacizny w całym kraju.

— Ogłoszono zatwierdzoną przez ministeryum ustawę kasy szpitalnej dla robotników warszawskiego Towarzystwa kopalń węgla i zakładów górniczych. Robotnicy co do składek dzielą się na stałe kategorye, lecz będą płacili procent od zarobków. Nie może on być niższy od 1%, wyższy od 3%. Towarzystwo dodaje od siebie sumę równą sumie wkładów wszystkich członków, a nadto dopłaca jeszcze z końcem roku dodatkowo 15% wniesionej sumy. Utrzymywanie szpitala i ponoszenie kosztów bezpłatnej pomocy lekarskiej, o ile ich nie pokryją fundusze kasy, jest także obowiązkiem Towarzystwa.

— W Sejnach gub. Suwalskiej utworzone będzie Towarzystwo pożyczkowo-oszczędnościowe, do którego oprócz mieszczan tamtejszych przystępują również obywatele okoliczni. Inicyatorem tej instytucyi jest p. Lineburg.

Katastrofa kolejowa. Z Genui donoszą, iż w tunelu obok Pontedecimo spotkały się dwa pociągi. Zginęło 9 podróżnych, wielu pokaleczonych.

Zmarli. Cezary Trombini, w Wenecyi. Pierwszy długoletni kapelmistrz opery warszawskiej.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 7 Августа 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.